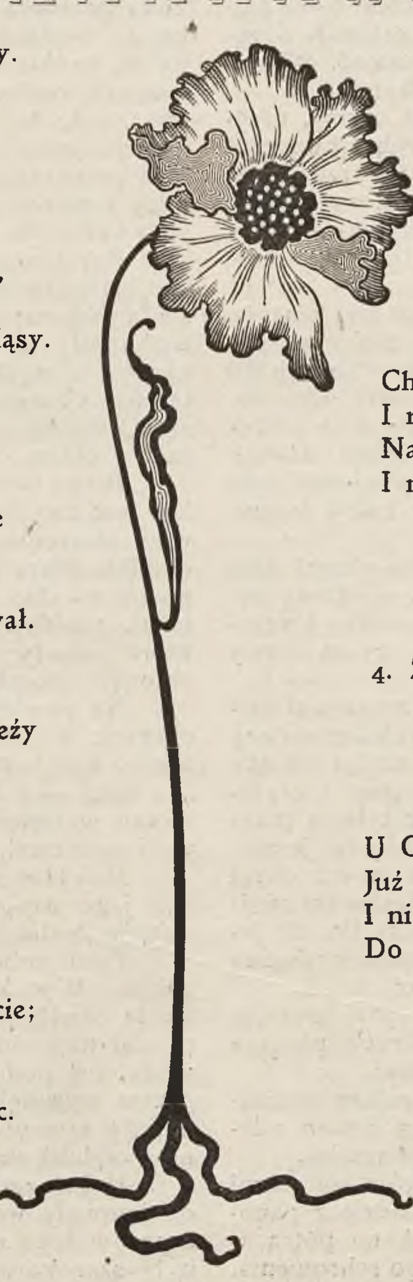


Rok V.
Kraków, dnia 29 stycznia 1911 r.
Nr. 5.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

W KARNAWALE.



1. Marzenia dziewczyny.

Tak niedawno, bo w adwencie,
Tyś wierzyła jeszcze święcie,
Że gdy przyjdzie raz karnawał,
Będziesz miała chłopców nawał,
Że niejeden rączkę ściśnie,
Grosz ochotnie w basy ciśnie,
Podkręciwszy w górę wąsy,
Pójdzie z tobą w dziarskie pląsy.

Zaś w dni kilka w twojej chatce
Pokłoni się ojcu, matce
I o rączkę pięknej Zosi,
Jako żywo, on poprosi.
Tyś marzyła, tak w adwencie
I wierzyłaś bardzo święcie,
Że nim minie ten karnawał
Ksiądz ci będzie już ślub dawał.

2. Na zabawie.

Przyszedł wreszcie wesół, świeży
I uroczy dla młodzieży,
Bo tu granie, tam muzyka
I wesele u Sobczyka.

Młodzież pląsa, co ma siły
Rozkosz patrzeć, Boże miły!
Krakowiaki, obertasy...
Aż w kawałki tną obcasy.
Rżnie muzyka, rżnie siarczyście;
Młodzież tańczy tak ogniście,
Że w zabawie nie zna granic
I nie zważa w pląsach na nic.

I od rana do wieczora
Od wieczora do poranku
Dziś taksamo jak i wczora
Idą pląsy bez ustanku.

3. U Grzegorza.

Grzegorz zwalił na koryto
Wieprza, jakby malowanie,
Zwabił młodzież okowitą
I urządził dla nich granie.
O, bo Grzegorz też ma córę,
Trochę ślepą, krzywą trochę,
Lecz da za nią grosza furę
I mórg gruntu także trochę.

Choć tam brzydka jego Staszka
I rozumu niema wiele,
Na grosz męża złapać — fraszka!
I nie trudno o wesele.
Rżnie muzyka, suną pary...
Jak pomiotło Staszka lata,
I choć rzecz to nie do wiary
Ten i ów ją sobie swata!...

4. Zakończenie.

I przechodzą dni jak fala,
Już post smutny widać zdala
A tu żaden chłopiec Zosi
O jej rączkę, ach! nie prosi.

U Grzegorza górą Staszka...
Już niejedna pękła flaszka
I niejeden już cholewki,
Do bogatej smoli dziewki.
Że jest brzydka, mniejsza o to,
Upiększy ją ojca złoto,
A choć szczęścia nie posiędą,
Za to morgi gruntu będą.

Hej, słuchajcie, biją dzwony,
A w kościele ksiądz z ambony
Zapowiedzi Staszki głosi...
Łzami zaszły oczy Zosi.

Antoni Socha.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

—×—

5. Bitwa na morzu.

W jednej chwili wszyscy na okręcie stanęli na nogi. Dowódcy zajęli swe miejsca, majtkowie wdziali zbroje i uszykowali się w szeregi. Ben-Hur słyszał wrzawę, bieganinę, rozpinanie żagli, przygotowywanie machin bojowych. Potem na galerze zapanowała znowu cisza, brzemienna oczekiwaniem i niepokojem. Na dany przez dozorcę znak wszystkie wiosła się wstrzymały.

Co to miało znaczyć? Ani jeden ze 120 niewolników, przykutych do ław, nie zadał sobie tego pytania. Czuli tylko obawę wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa; losy bitwy mało ich obchodziły: zwycięztwo ścieśni tylko ich okowy; porażka wyda ich na pastwę ognia lub zwycięzcy.

Ben-Hur posłyszał poza statkiem plusk wioseł. »Astrea« zadrżała, jakby w nią uderzył morski bałwan. Nieprzyjaciel nadpłynął.

I znowu dano znak z pokładu. Wiosła się zanurzyły. Galera poruszyła się powoli, prawie nieznacznie. Wewnątrz ani zewnątrz nie słychać było najlżejszego szmeru, wszyscy na okręcie stłumili w sobie oddech. Sam statek zdawał się zaczajać, jak tygrys przed rzuceniem się na swą zdobycz.

Wreszcie na pokładzie rozległ się czysty, przeciągły dźwięk bojowy. Dozorca z całych sił uderzył pałeczką po metalowej blasze, wioślarze rzucili się do wioseł; posłuszna ich skinieniu galera pędziła wprzód. Inne trąby odezwały się — wszystkie w tyle okrętu; na przodzie słychać było tylko bieganinę, wrzask i szczęk broni.

Nagle statek się wstrząsł, a to tak gwałtownie, że wioślarze w trzecim rzędzie ławek zachwiali się, kilku nawet pospadało na ziemię; okręt przechylił się, odskoczył w tył, lecz w tejże chwili, odzyskawszy równowagę, osadził się na miejscu i ze zdwojoną szybkością pomknął naprzód. Ponad dźwięk trąb i szczęk broni wznosiły się w powietrzu jęki ludzkie. I znowu rozległ się straszny huk i łoskot, a na pokładzie okrzyk tryumfu.

Rzymianie zatopili nieprzyjacielski okręt! Bez wytchnienia, bez chwili odpoczynku, »Astrea« pędziła dalej. Majtkowie zapalali kłęby bawełny i wrzucali je w kadzie napełnione olejem; groza bitwy miała się zwiększyć przez pożogę.

Nowe okrzyki tryumfu Rzymian, nowe jęki rozpaczy pokonanego wroga. Olbrzymi kruk, wystający w przedniej części okrętu, zahaczył nadpływający okręt nieprzyjacielski, podrzucił go w górę i zagłębił w toń morską. Naokoło »Astrei«, z tyłu, z przodu, po jej bokach, z tysiąca piersi, jakby z jednej, wznosiły się jęki rozpaczy. Co chwila nowy okręt nieprzyjacielski z głuchym trzaskiem i łoskotem szedł na dno. Zwycięztwo jednak nie przechyliło się jeszcze na żadną stronę. Od czasu do czasu wnoszono na pomost rannych i zabitych Rzymian.

»Astrea« płynęła ciągle naprzód, przedzierając się przez kłęby dymu, wymijając okręty płonące wraz z przykutymi do nich niewolnikami.

Nagle rozległ się straszny huk, galera wstrząsnęła się, odskoczyła w tył i z szalonym pędem uderzyła o drugi statek. »Astrea« była zahaczona.

Wiosła wypadły z rąk niewolników, oni sami pospadali z ławek na ziemię. Na pokładzie zapanował straszny popłoch, tłoczono się, uciekano, potrącano wzajemnie, każdy szukał bezpiecznego schronienia.

»Astrea« była widocznie w ręku nieprzyjacielskim. Rzymianie z napastników zmienili się na osaczonych. — Walczyli teraz na własnym pokładzie. Dreszcz przebiegał po ciele młodego Izraelity. A więc Arrius był w niebezpieczeństwie, w chwili tej bronił może własnego życia? A nuż zginie? Niech Bóg Abrahama go strzeże! Nadzieja, marzenia, co się obudziły niedawno w sercu młodzieńca, miałyżby nie stać się nigdy rzeczywistością? Matka, siostra, dom, Ziemia Święta, czyż nie miał już nigdy ich zobaczyć? Nad głową jego wrzała bitwa, naokoło panowało największe zamieszanie.

Jeden tylko dozorca siedział nieporuszony, uderzając w takt swoją pałeczką, której nikt już nie słuchał; człowiek ten był uosobieniem karności Rzymian, owej karności, co uczyniła ich panami świata. Przykład ten dobrze oddziałał na Ben-Hura. Zapanował nad sobą o tyle, że mógł zebrać myśli.

Raz jeszcze Ben-Hur obejrzał się naokoło. Na pokładzie wrzała wciąż bitwa, nieprzyjacielskie okręty trzymały wciąż »Astreę« w szachu. Wioślarze usiłowali rozerwać kajdany — nadaremnie, miotali się w swych klatkach, napełniając powietrze rykiem rozpaczy, podobnym do ryku dzikich zwierząt.

Ben-Hur popędził szukać trybuna. Niewielka przestrzeń oddzielała go od schodów. Jednym skokiem przesadził ich kilka; był w połowie drogi do kajuty, widział czerwone od pożogi niebo, a w świetle jej naokoło statki korsarskie — napastników była moc nieprzeliczona, Rzymian szczupła garstka. Nagle uczuł, że deski uginają się pod jego nogami i zanim miał czas zrozumieć, co się z nim dzieje, cała przednia część statku rozpękła się na dwie połowy i morze, pieniąc się i szumiąc, wcisnęło się w otwartą dla siebie szczelinę.

Ben-Hura otoczyły ciemności i woda.

Młodzieniec walczył ze wzburzonym żywiołem z siłą rozpaczy, wkrótce jednak ciemność, szum i plusk oszołomiły go zupełnie. Prąd fali wrzucił go, jak kłodę. Uczepił się jakiegoś przedmiotu — była to tarcica. Chwyciwszy ją raz, trzymał się jej z całych sił. Otrząsłszy się z wody, ociekającej mu po włosach i całem ciele, rozejrzał się naokoło.

Bitwa wrzała jeszcze, nie mógł jednak widzieć, kto jest zwycięzcą. W oddali słychać było gwałtowne uderzenia o siebie okrętów. Niebezpieczeństwo dla Ben-Hura leżało bliżej. W chwili gdy »Astrea« poszła na dno, na pokładzie jej, oprócz jej własnych ludzi, znajdowała się jeszcze załoga dwóch galer, które natarły na nią jednocześnie — wszystko to pochłonęło morze.

Na powierzchnię wypływali czasem dwaj przeciwnicy, a fala za chwilę miała przynieść śmierć obom; lecz każdy z nich chciał ją zadać wrogowi własną ręką — i prowadził bój zacięty, wili się i szamotali w śmiertelnym uścisku, godząc w siebie dobytymi mieczami, póki morze nie rozstrzygnęło walki.

Ben-Hur spieszył zejść im z oczu — zapaśnicy byli jego wrogami zarówno — obaj zabiliby go niewątpliwie dla zdobycia tarcicy.

Poza sobą usłyszał plusk wioseł, nadpływała galera. Wysoki jej czub zbliżał się coraz bardziej, każda chwila była drogą. Ben-Hur z całej siły popchnął naprzód szeroką ciężką tarcicę. Wtem z pod wody, tuż pod jego ręką, wypłynął pozłacany hełm, potem wysunęło się dwoje rąk dużych, silnych, co umiały zapewne trzymać to, co uchwyciły. Młodzieniec oddalił się przerażony.

Hełm zanurzał się i wypływał znowu, ręce obejmowały wciąż wymykającą się falę; wśród tych zapasów łuna oświetliła nagle twarz rozbitka. Usta były szeroko otwarte, oczy patrzyły błędnie, oblicze

pokrywała już trupia bladość, a jednak na ten straszny widok z piersi Ben-Hura wyrwał się okrzyk radości i gdy głowa zagłębiła się znowu, złapał tonącego za łańcuch, idący od hełmu i wciągnął go na tarcicę.

Tonącym był trybun Quintus Arrius!

Wzburzone morze zawrzało i zakipiało. Galera popłynęła dalej pomiędzy wynurzającymi się z wody głowami, wśród wyciągniętych rozpaczliwie rąk, wśród wijących się rozbitków, wśród potoków ognia i rozpaczliwych jęków.

Na czystem, jasnem niebie powoli poczęło się wznosić słońce, powietrze było ciche. W oddali widniał ląd, zbyt daleko, aby można było marzyć o dobiciu do niego na wątłej tarcicy.

Tu i owdzie wyłaniały się nad powierzchnię wód zręby okrętów. Tak przeszła godzina.

Arrius lada chwila mógł wyzionąć ducha, a pomoc nie nadchodziła. Czasem zdawało się Ben-Hurowi, że już nie żyje, tak leżał cicho, bez oddechu. Zdjął mu z głowy hełm, potem z wielkim trudem pancerz, serce biło jeszcze, acz bardzo słabo.

Dodało to otuchy młodemu Żydowi. Czekał dalej i modlił się, wzywając Boga swych ojców...

6. Arrius i Ben-Hur.

Arrius powoli wracał do życia, a z niem i do przytomności. Gdzie był? kto go uratował? kto był zwycięzcą?

Na to ostatnie pytanie Ben-Hur nie umiał mu dać odpowiedzi.

Dzięki odpoczynkowi — jeśli tak można było nazwać kołysanie się na wodzie na tak wąskiej i niepewnej podporze — trybunowi wracały siły; mógł już zebrać myśli i wydać głos.

— Ocalenie nasze — mówił — zależy od losów bitwy. Wyratowałeś mi życie z narażeniem własnego. Umiem to ocenić. Jeśli los dalej służyć mi będzie i wyjdziemy cało, obsypię cię łaskami, jak to przystoi Rzymianinowi, gdy ma powód i możność do okazania swej wdzięczności. Chociaż, co prawda, nie wiadomo jeszcze, czyś mi wyświadczył dobrodziejstwo, wyciągając z toni.

Umilkł, pogrążony w zadumie.

— Słuchaj — rzekł po chwili — musisz mi dać święte przyrzeczenie, że w pewnym wypadku zrobisz mi największą łaskę, jaką jeden człowiek może zrobić drugiemu. Przysięgnij!

— Dobrze. Jeśli to nie sprzeciwi się naszemu zakonowi — odparł młodzieniec.

— Czy jesteś istotnie synem Hura?

— Jakem ci to już powiedział.

— Znałem twego ojca.

Juda przysunął się bliżej, gdyż głos trybuna był słaby i słuchał z najwyższem wzruszeniem i nadzieją, że dowie się wreszcie coś o swoich.

— Znałem go i kochałem — mówił trybun głosem przyciszonym.

I znów zamyślił się głęboko.

— Zwyczajem jest u patrycyuszów nosić pierścień. Mam go na palcu. Weź go.

Wyciągnął rękę, Juda spełnił jego życzenie.

— Włóż ten pierścień na twój palec.

Ben-Hur uczynił to.

— Ten klejnot nie jest bez znaczenia — mówił Arrius. — Mam pieniądze i liczne włości. Nawet w Rzymie uważają mnie za bogatego. Nie mam rodziny. Pokaż pierścień ten wyzwoleńcowi, który zarządza dobrami mojemi. Znajdziesz go w willi około Misenum. Powiedz mu jakim sposobem przyszedłeś do posiadania tego pierścienia. Potem możesz żądać, co zechcesz, da ci wszystko. Jeśli będę żył, uczynię dla ciebie jeszcze więcej. Daruję ci wolność, wrócę cię na łono twego narodu i rodziny. Czy słyszysz?

— Choćbym nawet nie chciał słuchać, słyszeć muszę.

— A więc przysięgnij na bogów!

— Jestem Żydem.

— To na twego Boga lub na to, co jest najświętszego w twojej wierze. Przysięgnij, że zrobisz, co ci powiem i tak, jak będę żądał.

— Szlachetny Arriusie, po słowach tych, po twym głosie widzę, że jest rzecz wielkiej wagi. Powiedz wpierw, czego żądasz?

— Słuchaj — rzekł uroczyście Arrius — słuchaj, dopóki mogę mówić. Jeśli ten okręt co nadpływa jest grecki, możesz być spokojny o swoje życie. Nie dadzą ci może wolności, przykują znowu do wiosła, lecz nie zabiją cię. Mnie przeciwnie... (Głos trybuna zadrżał). Ja jestem za stary, żeby dźwigać brzemię hańby. Niech myślą w Rzymie, że Quintus Arrius, jak przystoi rzymskiemu trybunowi, zatonął wraz ze swoim okrętem, broniąc go od nieprzyjaciela. Oto, czego od ciebie żądam. Jeżeli to statek korsarski, zepchnij mnie z tej tarcicy w morze. Uczynisz to, wszak prawda? Przysięgnij!

— Nie, trybunie, nie przysięgnę — rzekł Ben-Hur z wielką stanowczością. — Nie przysięgnę, ani też nie uczynię tego, czego żądasz! Zakon mój nie pozwala mi pozbawiać cię życia. Weź twój pierścień (i mówiąc to, zdjął go z palca), zwracam ci go wraz ze wszystkiemi obietnicami, jakie mi uczyniłeś. Chociaż skazany jestem na dożywotnie galery, niewolnikiem nie jestem. Jam jest wolny syn Izraela i w tej chwili przynajmniej mogę rozrządzać własnym losem. Weź swój pierścień, trybunie...

Arrius leżał nieporuszony.

— Nie chcesz? A więc nie w gniewie, ani przez dumę, lecz jedynie żeby nie przyjmować na siebie wstrętnych mi i wzbronionych prawem zobowiązań, patrz, szlachetny Arriusie, pierścień twój rzucam w morze!

Trybun usłyszał plusk, pierścień jego poszedł na dno. Jakiś czas leżał z przymkniętemi oczyma.

— Postąpiłeś jak szaleniec — rzekł wreszcie.— Jeśli to okręt korsarski, opuszczę świat bez twej pomocy. Postanowienie moje jest niezłomnem. A wówczas cóż się stanie z tobą? Chciałem przed śmiercią dać ci klucz do szczęścia, wypuściłeś go niepotrzebnie z ręki. Teraz obaj jesteśmy zgubieni. Ja umrę, żałując utraconej sławy i zwycięztw; ty żyć będziesz w niewoli i upodleniu, przeklinając chwilę, w której przez dziecinny upór nie spełniłeś mojej prośby. Żal mi cię!...

Ben-Hur widział teraz skutki swego postępku jaśniej, niż przed chwilą. Nie żałował go jednak.

Obaj zamilkli. Oczekiwali nadpłynięcia staku; Ben-Hur oglądał się za nim ustawicznie. Arrius leżał z zamkniętemi oczyma, obojętny.

— Czy pewien jesteś, że to statek nieprzyjacielski? — zapytał.

— Tak sądzę — odparł młodzieniec. — Oto właśnie zatrzymał się i spuścił łódź.

— Czy widzisz flagę?

— Nie. Może jest jaki inny znak, po którym się poznaje rzymską galerę?

— Rzymskie okręty na szczycie masztu mają zawieszony hełm.

— Nabierz otuchy, trybunie, widzę hełm najwyraźniej.

Arrius nie chciał jeszcze wierzyć.

— Ludzie w łodzi wyciągają z morza rozbitków — przekładał Ben-Hur. — Greccy rabusie nie byliby tak litościwi.

— Potrzebują może wioślarzy — odparł Rzymianin, przypominając sobie prawdopodobnie czasy, w których ratował tonących dla takiejże przyczyny.

Ben-Hur śledził każde poruszenie okrętu i jego załogi.

— Teraz odpływa.

— W jakim kierunku?

— Poza nami stoi opuszczona galera. Statek podpływa do niej. Już przypłynął. Ludzie wstępują na jej pokład.

Niewzruszona dotychczas obojętność opuściła Arriusa, gdy usłyszał te słowa. Podniósł się i począł przypatrywać się bacznie statkowi.

— Podziękuj twejemu jedynemu Bogu — rzekł po długiej chwili obserwacyi — podziękuj mu, jak ja składam dziękczynienia moim bogom. Korsarze zamiast ratować, zatopiliby ten okręt. A więc to są Rzymianie i zwycięztwo należy do mnie. Fortuna nie opuściła swego wiernego sługi. Skiń na nich! wołaj! Niech przypływają coprędzej! Będę duumwirem!*) A ty? Słuchaj! Znałem twojego ojca i kochałem go; dał mi poznać, że Żyd nie jest barbarzyńcą. Wezmę cię z sobą. Przyznam cię za syna. Dziękuj twemu Bogu i przyzywaj coprędzej pomocy. Spiesz się. Niema chwili czasu do stracenia. Muszę puścić się w pogoń za korsarzami. Ani jeden rabuś nie powinien mi umknąć! Prędzej!...

Juda podniósł się na wrędze. Wymachiwał rękomą w powietrzu, wołając z całych piersi na załogę. Wreszcie zdołał zwrócić na siebie uwagę. Łódź podpłynęła ku nim. Majtkowie wciągnęli ich na nią. Na statku przyjęto Arriusa z honorami, należnymi wodzowi, ktoremu los sprzyjał stale.

Trybun kazał sobie opowiedzieć szczegóły o dalszym przebiegu i zakończeniu bitwy. Nad statkiem powiewała znowu szkarłatna flaga komendanta; całą siłą żagli i wioseł pomknął na północ, aby się połączyć z resztą floty i dokonać zwycięztwa.

We właściwym czasie wszystkie sto okrętów, złączywszy się w górnej części kanału, natarło na rabusiów i zniosło ich ze szczętem; ani jeden korsarski statek nie umknął. Zabrano na nieprzyjacielu dwadzieścia galer, co powiększyło jeszcze sławę zwycięztwa trybuna.

Za powrotem z tej wyprawy Arrius został powitany z najwyższemi odznaczeniami w porcie Miseneum. Towarzyszący mu młodzieniec zwrócił na siebie uwagę jego przyjaciół. Na ich zapytania: »Co to był za jeden?« — Quintus opowiedział w gorących słowach, w jaki sposób wyratował mu życie, pomijając milczeniem wszystko, co odnosiło się do przeszłości młodego Żyda. Potem przywołał do siebie Ben-Hura i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Przyjaciele! oto mój syn i spadkobierca; a ponieważ weźmie po mnie cały majątek, chcę także, aby nosił moje nazwisko. Proszę was, kochajcie go, jak mego syna!

Wkrótce potem Arrius dokonał wszelkich formalności prawnych, wymaganych przy przyjęciu na syna.

*) Duumwir, jeden z dwóch wodzów naczelnych siły zbrojnej rzymskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prosimy wszystkich uczestników losowania, których numery kończą się na zero, aż do 4460, którzy dotychczas nie nadesłali pieniędzy na przesyłkę i opakowanie wygranej (1 kor. 50 na obraz, 55 hal. na książkę do nabożeństwa), aby uczynili to niezwłocznie, gdyż przedmioty nieodebrane do dnia 15 lutego wylosujemy powtórnie między prenumeratorów.

Gawędy o Różnych Sprawach.

„Nędza żydowska“.

Odkąd włościanin jest więcej oświecony i nie idzie tak często, jak dawniej, do żyda o lichwiarską pożyczkę, lecz korzysta z kas reiffeisenowskich, odkąd pozakładano na wsiach sklepy Kółek rolniczych, które konkurują ze sklepami żydowskimi i odkąd wiele wsi otrzeźwiało i nie chodzą, jak dawniej, do żyda na karczmę — odtąd żydzi zaczęli mówić, że im zaczyna być źle w Galicyi. Wobec tego Sejm, chcąc się dowiedzieć o rzeczywistych przyczynach biedy żydowskiej, zarządził na wniosek posłów żydowskich ankietę, która już 23 stycznia b. r. rozpoczęła obrady we Lwowie.

Przedmiotem tej ankiety jest kilkadziesiąt szczegółowych pytań, które się jednak dadzą streścić w dwóch pytaniach, mianowicie: 1) wykrycie przyczyn zubożenia wśród żydów, oraz 2) czy nie należy im pomódz w czem dla podniesienia ich zarobkowości i czy w ostatecznym razie nie trzeba im przyjść z doraźną pomocą pieniężną.

Właściwa przyczyna biedy żydowskiej, jeżeli ona jest, to nadmierne ich mnóstwo w naszym kraju. Galicya liczy ich przeszło 900.000 a z małymi wyjątkami trudnią się oni tylko handlem, lichwą a w miasteczkach krawiectwem i szewstwem. Przytem żydzi się strasznie rozmnażają, więc trudno znaleźć zarobek dla coraz nowych rzesz żydowskich. Inną przyczyną, o której już mówiliśmy, jest wzrost oświaty i założenie w naszym kraju kas reiffeisenowskich a lud, mając w tych kasach tanią pożyczkę, gdy jej potrzebuje, nie idzie już do żyda, a mając Kółko rolnicze na miejscu, woli kupować w sklepie Kółka, niż w żydowskim szynku, bo jako dobry Polak i patryota nie chce wzbogacać brudasa, szwargocącego obcym językiem.

Naogół trudno przypuszczać znów taką biedę u żydów, którzy pomimo swych narzekań kilkanaście razy mają więcej pieniędzy, niż my. Włościanin jest daleko biedniejszy od przeciętnego szynkarza ze wsi a przecież czasem od dziada pradziada w niej pracuje i pracuje ciężko ale uczciwie.

*

Ankieta rozpoczęła się w poniedziałek w gmachu sejmowym we Lwowie i trwała trzy dni. Przewodniczył obradom sam marszałek krajowy, Stanisław hr. Badeni, a przybyło tam bardzo wiele osób, prawie wszyscy zaproszeni.

Zaraz z początku okazało się, że reprezentanci ludności żydowskiej chcą na to zużytkować ankietę, aby módz jak najbardziej źle i nieprzychylnie mówić o ludności katolickiej polskiej. Ludność ruska jakoś w większych łaskach jest u izraelitów, jak się okazało. Najbardziej skarżyli się na to, że karczmarzom poodbierano wyszynki po wsiach a konsensy rozdawano katolikom. Wszyscy zaś żydowscy uczestnicy powiadali, że żydom dzieje się źle, że są w nędzy. Jeden tylko Dr. Benis z Krakowa okazał sprawiedliwość i omawiał także żydowskie wady.

Nadaremnie starali się poważni polscy członkowie ankiety udowodnić, że bieda nasza jest dużo gorsza od żydowskiej, żydzi obstawali przy swojem.

Zdaje się ze wszystkiego, że ta ankieta pożytku nie przyniesie. Żydzi będą tylko po niej rozgoryczeni, że im się nie daje wiary, a trudno przecie ją dawać nam, którzy wiemy, jak ta nędza żydowska wygląda w rzeczywistości.



Ze ślubu — na wesele.

Wesoły zakład.

(Zdarzenie prawdziwe).

Przed mniej więcej pięciu laty w pewnej kujawskiej wiosce, niedaleko miasta Iwanowa, żył niejaki pomocnik mleczarski, młody i wesoły chłopak, który nie pochodził z Kujaw, tylko go los tam ściągnął.' A że to był figlarny i zgrabny młodzieniec, przeto lubiano go powszechnie.

Pewnego razu, w piękny dzień wiosenny, przed wieczorem, gdy słońce świeciło wesoło i rzucało swe złote promienie w okno mleczarni, po ukończonej co dopiero pracy, pomocnicy mleczarscy gawędzili wesoło. Wtem przerywa nasz młody chłopak i mówi: Dalej koledzy, umyć się porządnie i ubrać czysto, to się nam reszta dnia milej spędzi. Koledzy zaczęli drwić z niego.

— Pewnoś sobie jaką dziewczynę we wsi upatrzył i chciałbyś się jej w pięknym stroju pokazać.

— Co? — odpowiada Leon, bo tak było na imię owemu chłopakowi — który z was weźmie taczkę z gnojem i widłami, potem podegnie prawy rękaw i lewą nogawicę do góry, na głowę włoży stary dziurawy kapelusz i ruszy tak przez całą wieś, żadnego celu w tem nie mając.

A było to, jak wiemy, właśnie przed wieczorem, gdy wszyscy mieszkańcy wsi odpoczywali po całodziennej pracy na ławkach przed domami. Nie chciał się więc żaden na to zgodzić. Widząc to Leon, roześmiał się głośno i mówi:

— Widzicie, jacyście to pokorni! Ja chociaż pyszny, jednakowoż uczyniłbym to.

— Jeżeli nie wierzycie, to się załóżmy o sześć koron, że to uczynię — dodał Leon.

Chętnie zgodzili się koledzy na ów zakład. — W oka mgnieniu przystroił się Leon tak, jak to był powiedział, podobny w swym stroju do stracha w kapuście. I tak ruszył z miejsca, nie przeczuwając, że jeszcze jakaś niespodzianka go czeka. Oto na domiar złego zaczęła taczka, która już dawno nie była używana, swoje donośne: »świe-rut, świe-rut«, jak gdyby zwoływała ciągle a ciągle więcej ciekawych, których też z każdą chwilą więcej przybywało. Lecz nie zraził się tem ów chłopak, tylko udając, jakoby nikogo nie widział, pchał dalej, żeby jak najprędzej stanąć tam, skąd ruszył. Aż tu nagle słyszy wołanie:

— Leon, Leon, co ci się stało? czyś zwaryował? Wtem obejrzał się nasz Leon, poznając w głosie swą ulubioną Irenkę. Krew mu uderzyła do głowy na myśl, że ona może na prawdę myśli, że on zwaryował. Lecz zapanował nad sobą i biegł dalej.

Będąc już niedaleko mleczarni, z której był wybiegł, słyszy wesołe śmiechy i poklaski swych kolegów. Stanąwszy u celu, odetchnął swobodniej, ale myśl, co jego droga Irenka sobie myśli, go trapiła.

Wkrótce zbiegło się do mleczarni mnóstwo ciekawych. Pomiędzy niemi także jego ulubiona Irenka. Dowiedziawszy się co zaszło, uśmiali się wszyscy serdecznie i podziwiali dowcipnego chłopaka. Tenże odebrawszy od kolegów owe sześć koron, powiada: Kiedy już był taki zakład, to te pieniądze odbiorę, ale żebyśmy wszyscy mieli z nich korzyść, pójdę do polskiej księgarni i kupię za nie ładnych polskich książek, będziemy mieli ładną naukę i rozrywkę w wolnych chwilach. Jak postanowił tak uczynił. — Potem codzień po pracy, umywszy się i ubrawszy porządnie, czytali po kolei owe książki tak dowcipnie nabyte. Nie żałowali nigdy tego. Owszem, cieszyli się bardzo, gdyż odnieśli z czytania wielki pożytek, kształcąc umysł i serce i przywiązując się tem bardziej do wszystkiego, co polskie.'

Wiktorya Bilicka z Wielkopolski.

Lekarstwo na gadulstwo.

Oj, byłaż to rozumna kobieta ta pani młynarzowa i niezrównaną miała biegłość języka, mimo to jednak nic wskórać nie mogła przeciwko »bijącym« argumentom męża, który nagły a niepohamowany w złości o byle co, do kija się porywał. Przekonała się młynarzowa najdowodniej, że jej język, jakkolwiek najświetniejsze musiał wywijać młynki, słabą był bronią, aby mogła być nadzieja zwycięztwa. Bezradna udała się tedy do sąsiadki o doradę.

Sąsiadka poradziła więc młynarzowej, aby się udała do miasta, do sławnego lekarza, o którego wyleczeniach ludzie nadzwyczajne rzeczy opowiadają; on znajdzie także na męża lekarstwo.

Nazajutrz miała młynarzowa interes w mieście, wię poszła do lekarza.

— Ach, mój Boże, ile to w tem mieście nieszczęśliwych kobiet! pomyślała sobie młynarka, widząc w przedpokoju lekarza wielką liczbę niewiast. Czyżby wszystkie szukały tu porady na swych mężów?

Po długiem czekaniu przyszła wreszcie kolej i na nią, z początku nieśmiało, ale wkońcu coraz śmielej opowiedziała doktorowi całą swą niedolę.

— Ach, panie doktorze, prosiłabym bardzo o jaką medycynę, którąbym męża mego z kłótliwości wyleczyć mogła.

— Mamci ja takie lekarstwo – rzekł lekarz – lekarstwo dobre i niezawodne, tylko że to bardzo drogie, bo kosztuje aż 10 koron.

— O, panie doktorze, niech kosztuje co chce, byleby tylko pomogło!

— Musisz, moja kobietko — rzekł, podając młynarce butelkę — najściślej zastósować się do moich przepisów, bo tylko w takim razie lekarstwo pomódz może. W butelce tej jest lekarstwo skuteczne, a że nie ma ani zapachu, ani też smaku, przeto nie trudno je zażywać, a za skutek ręczę. Więc dobrze sobie spamiętaj: skoro tylko mąż będzie chciał rozpocząć kłótnię, natenczas zaraz weźmij spory łyk tego lekarstwa i trzymaj go w ustach, ale strzeż się, abyś ani kropli nie połknęła. Dopiero po pół godziny możesz to ostrożnie wypluć.

Uradowana pobiegła młynarzowa z nieocenionem lekarstwem do domu. Nie trwało długo, a było to już pod wieczór, usłyszała na schodach gniewne stąpanie męża. Czemprędzej więc wzięła przepisaną ilość lekarstwa w usta i zaczęła spokojnie krzątać się około swego zatrudnienia.

Młynarz wrzeszczał i klął, jak zwykle. Młynarka trzęsła się od złości, że na to wszystko ani słowa odpowiedzieć nie mogła, ale pamiętna na surowy przepis lekarza, trzymała lekarstwo w ustach.

Niemało zadziwił się młynarz, że żona taka milcząca, a gdy i na najgorsze wyzwiska nic nie odpowiedziała i nie miał się z kim kłócić, zamilkł także.

Nazajutrz wieczorem ta sama powtórzyła się scena i z tym samym skutkiem.

— Co się to mojej babie stało? pomyślał sobie młynarz, że tak do niepoznania się zmieniła? Dawniej język jej szedł jak młynek, a teraz jest milcząca i cierpliwa jak baranek! Czyżby była chorą?

Ale młynarzowa była zdrowa i weselsza jak dawniej. Lekarstwo odnosiło znakomity skutek.

Chociaż mąż nieraz miał ochotę doprowadzić do kłótni, musiał zamilknąć, bo żona swą czystą wodę starannie trzymała na języku.

Młynarz wreszcie sam przyszedł do uznania, że cierpliwej i łagodnej swej żonie niesłusznie dokucza, a gdy się jeszcze przekonał, że przy miłej zgodzie także dobrobyt się podnosi, zmienił się także nie do poznania i był dla żony łagodnym i serdecznym. —

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

V.

Znalazł się Karski w niewielkiej komnatce o jednem oknie, za cały sprzęt posiadającej tylko kanapkę, dywanem okrytą, ławy dwie i kołki do wieszania szat przeznaczone. Duszno w niej było i ciemno prawie od dymu tytoniowego, tak, że wchodzący na razie nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie się ma ruszyć. Na sofie leżał człeczyna pękaty, krótki, ćmiąc lulkę na krótkim cybuszku. Wchodzącego spostrzegłszy, wstał, nie wyjmując snać ulubionej fajczyny, poprawił żupana wytartego, czupryny musnął i bacznie mu się jął przypatrywać.

Nie podobała się Karskiemu osobistość pana Ożgi — on to bowiem był — odrazu poznał w nim lisa wytrawnego. W twarzy odętej, na środku której nos wyrósł do kulki podobny, w górę podniesiony, nie można było dostrzedz żadnej szlachetnej myśli. Pod wąskiem czołem, zarosłem włosami, umieściły się małe oczka, bystro skaczące w rozmaite strony, z nich tryskał wyraz bezwstydu, przebiegłości, niezręcznie pokrywany udaną dobrodusznością.

Na razie nie wiedział Karski co by to była za figura, po chwilce namysłu za służalca starosty go wziął. Począł go tedy traktować zgóry.

— Do pana starosty tędy? — pytał.

— Tędy. A co waszmość do pana starosty masz?

— Nie zwykłem się przed byle kim tłómaczyć — odparł Karski, zdziwiony śmiałem ptaniem. — Pójdź żwawo a oznajmij mnie.



...Począł go tedy traktować z góry.

Ożgę tknęło to lekceważące traktowanie. Wyjął z gęby cybuszek, zadarł łba do góry, nadął się bezmiernie, rękoma w boki ująwszy. Podobny był do żaby, gwałtem chcącej wołowi sprostać.

— Korzecbyś waćpan talarów zjadł — wrzasnął. — Do kogo to mówisz tak poufale? Hę? Patrzaj no go!

Mimowoli rozśmieszyła Karskiego ta buta — skłonił głową, odpowiadając:

— Wybacz waćpan moją niegrzeczność i racz prośbie mojej uczynić zadość. Pilną mam do pana starosty sprawę.

— Szlachcic jestem — nie zważając prawił Ożga — zubożały, to prawda, ale... prawdziwy. Niejednegom śmiałka naznaczył a i dziś, kto mi ujmę czyni — niech się strzeże! Rękę mam... ba! potrafi szablę ująć...

— Mnie to ani ziębi, ani grzeje — rzekł Karski. — Być bardzo może, że potrafisz waćpan szablę ująć... mnie do starosty trza... Nie zaprzeczam waćpanu szlachectwa, ale proszę i to pamiętać, że ja nietylko uszy, ale i nosy obcinam... Trafiam też do gęby czasem, skoro zbytnio krzykliwa i głupstwa plecie...

Ożgę jakby kto ukropem oblał — zakrztusił się dymem, poruszył ustami, mruknął coś, lecz milczał.

— Powiedzże mi waćpan, jakim sposobem z panem starostą mogę się zobaczyć? — dopytał Karski. — Pilno mi nader.

Nie mówiąc nic, ręką na drzwi sąsiednie wskazał Ożga.

Starostę zastał Karski drzemiącym na fotelu, przed stołem, na którym leżała baryłka i szklanice wielkie. Człowiek ten również nie sprawił na nim dobrego wrażenia — postać jego zdawała się po twierdzać zdania Magdy i Padygi. Był to kloc olbrzymi, cielska opasłego, na wierzchu opatrzony również wielkim łbem, wysoko podgolonym. Siedział on łeb na karku grubym a krótkim, zasłoniętym z przodu zwisłą brodą. Twarz miał rozlaną, obrzękłą, plamami czerwonemi ponaznaczaną, oczy do wołowych podobne, krwią nabiegłe, czoło wysokie, żyłami na skroniach poprzepasywane grubemi. — Skrzypnięcie drzwi nie przebudziło starosty, musiał Zbigniew chrząknąć mocno nad uchem, dopiero oczy rozwarł.

— A tu kto? po co? — huknął grubym głosem, zdającym się wychodzić z jakiejś olbrzymiej próżni. — Ożga, łajdaku jeden... także pilnujesz drzwi? Hę? Pasy z ciebie zedrę.

— Gwałtem się ten jegomość do Jaśnie Wielmożnego pana starosty pchał — szepnął, tłumacząc się Ożga, który wnet do komnaty się wsunął. — Ja nie winien.

— Gwałtem? — powtórzył starosta, marszcząc brwi. — Coś waść za jeden? Hę? Z czem przychodzisz?

— Mnie powiedzieć nie chciał — dogadywał Ożga. — Licho wie, co go tu przyniosło.

Zbigniew nie mógł złości pohamować — nogą o podłogę uderzył i zawołał:

— Milczeć mi... ani słowa! Przyszedłem tu nie do ciebie służko, ino do pana starosty. Jużem ci powiadał, że w gębę biję głupców.

Starosta w śmiech — a Ożga, trzęsąc się ze złości, bełkotał:

— Owo co jest... Ja... tego aspanu nie daruję...

— Panie starosto — mówił nie zwracając na niego uwagi Zbigniew — przybywam z nader ważną sprawą, racz tedy waszmość pan dobrodziej odprawić tę małpę.

— Masz, czegoś chciał, trutniu — śmiejąc się rzekł starosta. — Dobrze ci tak! Dobrze. Zawdy nos wtykasz tam gdzie nie trzeba. Ano skoro waćpan do mnie, siadaj i praw co masz, ten oto — głową na Ożgę wskazał — nic nam nie przeszkadza. Zaufany to mój sługa, wierny, chociaż łeb ma barani. Mów wasze śmiało.

Acz niechętnie — jednak rozpoczął Zbigniew opowiadanie. W miarę tego starostą miotały najróżnorodniejsze uczucia — atoli niktby pomiędzy niemi śladu żalu nie dostrzegł. Słuchał, zdając się nie wierzyć, z oczyma szeroko rozwartemi, jakby chcąc na

wskroś niemi, przejrzeć opowiadacza. Oźga w kącie niepostrzeżenie ręce zacierał.

— Zaprawdę, smutną mi waszmość zdałeś rzecz — rzekł starosta, siląc się na udanie odpowiedniego uczucia. — Ciężki cios dotyka nasz ród. Biedny podczaszy... Chciał moru ujść, i mnie nawet wyciągał, alem nie chciał. Waszmość zapewne gościnę u mnie przyjmiesz — rzekł do Zbigniewa. — Potrzebujesz wygody i spoczynku.

Skłonił się zaproszony.

— Ot, co się stało — po chwili ogólnego milczenia począł starosta. — Ktoby się spodziewał? Jak kosą uciął... I ta Anielka, lepiejby pono, żeby umarła.

— Panna podczaszanka, może da Bóg, wróci się nam — rzekł Zbigniew, tłumiąc oburzenie.

— A to jakim sposobem? Hę? — huknął raptem pan Łukasz z pewnym rodzajem trwogi.

— Wątpliwości żadnej nie ulega, że pan starosta dobrodziej poszukiwania zarządzisz ściśle, nie pozwalając na pohańbienie rodu.

— Jużci, jużci, zarządzi się to...

— Na nic się żadne poszukiwania nie zdadzą — zauważył Oźga. — Co raz hajdamactwu w ręce wpadnie, przepadło.

— Zakneblujże gębę niesforną baranie, albo jaci ją zamknę — fuknął, znaki niepostrzeżenie Oździe dając, starosta. — Wszystko w ręku Boga... rozmaicie bywa.

— Poszukiwania trzebaby ile można najszybciej rozpocząć — nalegał Zbigniew.

— Jużci, jużci... na czasie wiele zależy. Waćpan rozumny widzę człowiek. Trza jak najprędzej. Radbym chociażby i dziś... ale... w tem sęk, że się szelmostwo porozłaziło, licho wie gdzie — niby zaambarasowany prawił.


...Skłonił się zaproszony.

— Oźga biegaj do Padygi, niechaj mi tu co żywo świeżą baryłkę każe przytoczyć. Żywo. Pan Karski nie pogardzi kielichem.

— Ależ panie starosto, tu rzecz ważna! — zawołał Zbigniew.

— Ani słowa, mój mości dobrodzieju. Ważna, ani słowa. Dlatego też trzeba obgadać, jak należy. Biegaj. Oźga, co żywo!

Wstał starosta, przeszedł się po komnacie, która pod jego nogami trzęsła się cała.

— Waszmość o tem już rozpowiadał komu? — zapytał nagle.

— Nikomu — odparł Zbigniew, przypomniawszy sobie uwagę Padygi. — Do pana starosty spieszyłem.

— Dobrześ waszmość zrobił. Bardzo dobrze. Hm... Co za nieszczęście!...

Oźga z baryłką wrócił, starosta czopek wyciągnąwszy, wina nalał

— Wiesz waszmość co — nagle do Zbigniewa zwrócił. — Mam myśl... Gdyby tak przed ludźmi opowiadać, że Anielki nie porwano, ino że zmarła wraz z innymi?

To rzekłszy spojrzał na gościa badawczo. Karski porwał się z miejsca.

— Panie starosto! — krzyknął oburzony.

— No, no, pozwól mi waszmość skończyć. Widzę gorączka jesteś, impetyk. Anielki szukać będę, wszelkich starań dołożę, sił. Bóg świadkiem, ilem ją miłował. Znajdę ją — szczęście, nie znajdę — trudna rada. Przewidzieć tego nie można. Hm... robiłem propozycyę dlatego, iżby ród nasz od hańby uwolnić.

— Od jakiej hańby?

— Jasna rzecz. Hajdamacy ją porwali, a oni... zwierzęta, nie ludzie. Waszmość mnie rozumiesz! Zawdy lepiej, gdy umrze pocześnie. Wyraźniej wszak waszmości tłómaczyć nie potrzebuję.

— Ja zaś mniemam, że tego hańbą nazwać nie można, ino nieszczęściem, któremu obowiązek nakazuje podać rękę każdemu, tem bardziej waćpanu dobrodziejowi.

— Niewątpliwie, niewątpliwie — rzekł starosta, wszelkiemi siłami snać pracujący nad ujęciem dla siebie Karskiego. — Pan acz młody — człek rozumu wielkiego. Słuchaj, Oźga, błaźnie i ucz się...

...Bodajby słowa waszmości panie Karski ewangelią były! — wołał, oczy suche ocierając, starosta — serca strapionemu dodajesz, poczciwy!

Uściskał go i wina dolał. Wychylił duszkiem Zbigniew, nie zważając na miarę kielicha, która równała się niemal pół kwarcie.

— Hm... ot, nieszczęście — przemilczawszy ozwał się pan Łukasz. — Zanim ułożymy całą sprawę z waszmością, skoroś sam łaskawie pomocy obiecał, z czego korzystać nie omieszkam, upraszam o jedno. Nie powiadaj nikomu o porwaniu Anielki. Nie wiadomo gdzie się podziała i tyle. My ją szukać będziemy.

...Będziemy szukać — odetchnąwszy, prowadził. — A.. a... gdybyś waszmość zgodził się na moje projekty i zechciał zgodnie z tem opowiadać, jakoś dziewkę zmarłą wraz z rodzicami i bratem widział...

— Panie starosto, fałszem się brzydzę!

— Chwalebnie, chwalebnie. Moją naturę masz masz waszmość. Ino zważaj, żeś niesłusznie fałszem nazwał to, co jest osłoną honoru rodu. Jabym ci się to starał wynagrodzić...

Pana starostę upraszam za człeka podłego mnie nie uważać. Ubogi jestem, to prawda, alem do podłości niezdolny.

Starosta znowu go uściskał.

— Serce masz poczciwe i zaszczyt sprawiłeś mi dając się poznać — rzekł. — Źleś mnie jeno wasze zrozumiał. Miałem na myśli wdzięczność moją, nic więcej. A gdzieżbym śmiał, co innego ci ofiarować!

— Zatem pan starosta niech raczy obmyśleć, co czynić należy — wstając rzekł Zbigniew — jam strudzony dziś, o przyrzeczoną gościnność poproszę.

— Uciekasz wasze? Ano... Oźga, zaprowadź jegomościa do komnaty i umieść wygodnie. Pamiętaj. Zacnego gościa trza przyjąć solennie.

Żegnając Karskiego ściskał starosta kilkakroć, również kilkakroć powtórzył.

— Ino nie powiadaj o Anielce nikomu... do jutra. Pamiętaj wasze!

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Juz od niejednych ludzi słysołem, ze zeby się dobrze ozenić, to się trzeba najpirwy zakochać w dziwce sercem, rękami, dusąm i nogami i głowąm nawet. Uzdała mi się Kaśka od Pyrtuły i sykuje mi się ze wszyćkiem, ino zakochać się w niej całkiem nie mogę jakoś.

Rękami i nogami to juz ją pewnie kocham, bo jak widzę, ze ona scyzy zęby do Wicka, to mom ochotę rękami z jednej i z drugiej strony wywalić po fafule i kopnąć w siedzenie, ale sercem, dusąm, to jakoś nie mogę się w ni zakochać. Juz mam nastrojone pół kwarty okowity w moim sąsieku i jak ino zmiarkuję, ze ją kocham, jak mi ludzie kazują, odrazu dyrdka polecę do nij na zaloty. O Kaśkę, zeby zaś mnie kochała, to mi się nie ozchodzi, bo jak się ozenię i będzie moją babą, a przejadę ją kilka razy powrozem po plecach, to mnie kochać musi, choćby nie chciała.

Człowiek se ino coraz wiency nabije klinów do głowy tom ozeniacką. Bo naprzykład ja tańcować to jesce nigdy nie próbował, naprawdę, a tu koniecnie trzeba z moduchom tańcować.

Zebym chociaz tyle umioł tańcować i obrócić się co pies w studni, toby jakoś było.

A! zabocyłem! bo na Jędruchowem weselu juzem zacynał tańcować i jagem se naprzodzi tupnął, tagem wielki palec u nogi Maryśce oztarasił az jej pazur ślaz z palca i na ty próbie skońcyłem, bo Maryśka juz ni mogła tańcować i inse dziewuchy nie chciały iść do mnie w taniec. Ścięklą polkę tobym potrafił, bo to nie štuka skakać, jak się ino podoba jak waryot, ale tramla, oberacka, abo krakowiaka do koła, to ani rus nie umiem sie obrócić.

Tak źle i tak nie dobrze, ale raz kozie śmierć, jak się ino do ozeniacki potoce i zakocham cały ze wszyćkiem, jak ludzie gadają, w Kaśce to się i ozenię i na wesele wszyćkie dziesięć tysięcy czytelników »Roli« zaprosę, a jak mi wszyscy dadzą na cepiec po dwie korony, to będę miał dwadzieścia tysięcy koron i folwark se jesce kupię i kapelus swojej Kaśce a sobie dwie pary butów, zebem i w lecie boso nie chodził, jak nasz pan we dworze, zawse w butach cy zima, cy lato. Wesela zadnego nie będę sprawiał, coby się zaden z cytelników nie opił, wystarcy dla mnie, jak mi dadzą po dwie korony wszyscy za to i kuniec.

A i ta pociecha jest la mnie, ze nie ja sam o sobie myślę, bo i inse ludzie także się o mnie trapią i tak mi pisą:

Ratujmy Maćka Bzdurę!

Czytelnicy *Roli* śpicie, czy niedbacie,
Że o Maćku Bzdurze tak zapominacie.
Tylko się śmiejecie z niedostatku jego,
Że on baby niema, cóż to tak dziwnego?
Przecież już żonatym nie mógł się urodzić,
Lub jako niemowlę za żeniaczką chodzić.
Teraz mu czas przyszedł, więc już żony szuka —
Do Was Czytelnicy też o pomoc puka.
Przecież to nasz bliźni — ratować go trzeba,
Żeby miał na starość duży kawał chleba.
Weźmy się do dzieła — żony mu szukajmy,
Póki jest czas w zimie, dłużej nie zwlekajmy!
Baczność, żeby mu się wdowa nie dostała,
Boby nieboszczyka za wzór mu stawiała.
Jak on sobie życzy, panny mu szukajmy,
Lecz i w tem towarze pilnie rozważajmy.
Żeby papierosów, fajki nie paliła,
Boby jego piękne lica okopciła.
Żeby też nie była wielka hałaśnica,
Boby może pękła jego mózgownica.
By miała na wiano konie także krowy
I dom murowany, choćby był i nowy.
By umiała dobrze strawe ugotować,
By Maciek nie musiał z jedzenia chorować.
Żeby miała garnków dużo a niemałe,
Bo Maciek ze służby ma kiszki schorzałe.
Chociaż jego czapkę tyfus przenicował,
Musi ktoś być taki, by go pożałował.
Radźmy, jak możemy, on zasłużył na to,
A będzie nas chwalił w *Roli* całe lato.
Ja też z mojej strony, co mogę to spełnię,
Pójdę na wesele — za trzech brzuch napełnię.

Jan Krajdocha.

Swaty Maćka Bzdury.

Pewnego wieczoru szedłem podchmielony,
Zeszedłem się z Wojtkiem, co liczył korony,
Była już godzina, zdaje się, dziewiąta...
Aż tu nadsłuchuję śmieją się dziewczęta.
Ale kto się tam śmiał, to nikt nie wie o tem,
Ja się znów przyczaił pod sąsiada płotem.
Były tam trzy panny, o Maćku mówiły,
Tak się naradzały, aby go skusiły...
I jedna tak mówi: — Radabym go chciała,
Żeby mi mamusia pięć stóweczek dała
A już mam dwa domy o nic się nie troszczę
I innym dziewczętom Maciusia zazdroszczę.
Skończyła się sprzeczka, ale bardzo smutno,
Bo jedna na drugiej potargały płótno.
Było raz wesele u jednej kobitki —
Zdarzył się wypadek, ale bardzo brzydki.
Wziął ktoś tanecznicę pana Maćka Bzdury
A ona od siebie odpycha pazury,
I tak się z nim szarpie, aż się mu wyślizgła,
Łapiąc go za łokieć w rękę go ugryzła.
Ładnie się nazywa, Hanusia ma imię,
Szyć, łatać i pisać i plotki pleść umie.
Na Maćka tak dybie, jakby kot na myszę,
— Choćby co kto robił, ja jego mieć muszę.
Nie dbaj, Maciuś, nie dbaj na pismo z Krzeszowic
Mam mamę przy sobie nie trapże się o nic.
Mama mają kury, co im jajka niosą
I świnie też mają, co się ciągle proszą.
Do ciebie, Hanusiu, namówiłem Maćka
Za to na weselu dasz kawałek placka;
I z dziesięć bomb piwa za te namowiny
A za jaki miesiąc zaprosisz na chrzciny.
Żebyśmy się razem mogli cieszyć z wami,
Będziem was wychwalać pomiędzy ludziami,
Że się was dobrała młodych ludzi para
I niech się rozszerza po tym świecie wiara.
Ale już zakończam te moje życzenia!
Daj im Boże Panie wiecznego zbawienia
I długiej starości, czego wam daj Boże!
Pójdziecie do nieba, och! pójdziecie może.

Józek z Palczowic.

Z TYGODNIA.

Ksiądz Ludwik Jaźdżewski, doktor św. teologii, poseł do parlamentu niemieckiego i prezes Koła polskiego w sejmie pruskim, zmarł 23 b. m. w Berlinie, w gmachu sejmowym, skutkiem choroby serca. Był to najwybitniejszy i najzasłużeńszy polityk polski, nieustraszenie broniący wiary św. i praw narodu polskiego pod zaborem pruskim. Zmarł przeżywszy lat 72. Cześć jego pamięci!

Prezesem Koła polskiego wybrany został w miejsce ministra Dra Głąbińskiego, 66 głosami na 67 oddanych, poseł Dr Stanisław Łazarski, adwokat w Wadowicach. Należał on do bezpartyjnych, jest człowiekiem bardzo poważnym i rozumnym, tak, że z tego wyboru tylko się cieszyć możemy. Wybór tak jednomyślny (bo rzeczą oczywistą jest, że ten 1 głos, który padł przeciw p. Łazarskiemu, był właśnie jego głosem), podniesie ogromnie znaczenie Koła polskiego w Radzie państwa; i z tego także bardzo winniśmy się cieszyć. Dzienniki niemieckie liczyły na to, że przy woborze prezesa głosy w Kole polskiem się rozbiją, i że będzie można rozsadzić Koło polskie. Spotkał je ogromny zawód, a w całym kraju powstanie szczera radość. — Ustąpili równocześnie trzej wiceprezesi: Stwiertnia, Stapiński i Górski, a Koło wybrało wiceprezesami posłów: Stwiertnię, Stapińskiego i Ptasia. Niebawem ma być utworzona czwarta posada wiceprezydenta, dla konserwatysty.

Budowa dróg wodnych. Podczas otwarcia obecnej sesyi parlamentu prezydent ministrów, baron Bienerth, złożył imieniem nowego rządu, dłuższe oświadczenie, w którem wyraził także swe zapatrywanie na ważną dla nas sprawę budowy kanału. — Zaznaczył, że rząd będzie się starał przedsięwziąć jak najrychlej zmianę obecnej ustawy kanałowej z r. 1901, jeżeli tego zajdzie potrzeba i będzie się troszczył, aby w tej sprawie uwzględniono także życzenia i potrzeby utworzenia dróg wodnych w Galicyi. To oświadczenie jednych posłów polskich zadowoliło, inni jednak twierdzą, że to tylko obietnica, która kto wie, czy zostanie spełnioną, bo rząd nie powiedział dokładnie, w jakim czasie przystąpi do budowy dróg wodnych i czy zmiana ustawy wodnej będzie dla nas korzystną, gdyż Niemcy a nawet Czesi i Rusini są przeciw temu, aby Galicya miała kanał.

Ze stronnictw krajowych. W Krakowie odbyło się zebranie pełnej Rady Stronnictwa Ludowego z udziałem posłów do parlamentu i Sejmu. Prowadzono żywe rozprawy, które uchwalono zachować w tajemnicy na razie. Ogłoszono tylko dwie uchwały, mianowicie, że Rada pełna pochwala postępowanie swoich posłów, i pozostawia im wolną rękę w działaniu politycznem, oraz że sprawę dróg wodnych uznać należy za najważniejszą sprawę krajową. Wreszcie polecono posłom, aby starali się nawiązać stosunki i z żywiołami demokratycznemi. — We Lwowie odbyło się zebranie posłów demokratycznych, którzy uchwalili starać się o zbliżenie się dwóch grup, krakowskiej i lwowskiej, bez Wszech polaków.

Unia słowiańska. Staraniem Czechów, którzy ciągle i wytrwale walczą z Niemcami, powstała przed dwoma laty Unia słowiańska tj. związek, do którego mieli należeć wszyscy posłowie słowiańscy. Do tej Unii Czesi pragnęli wciągnąć także posłów polskich, lecz to się im nie udało. Obecnie z powodu waśni wewnętrznych Unia ta przestała właściwie istnieć, dlatego Czesi wraz ze Słowieńcami chcą ją obecnie wzmocnić i przez odpowiednie zmiany wlać w nią życie. Gdyby wszyscy posłowie słowiańscy się połączyli, to Unia słowiańska miałaby więcej posłów, niż wszystkie kluby niemieckie razem.

Koszta utrzymania wojska i floty są dla wszystkich państw wielkim ciężarem a dla Austryi tem większym, że ona jest o wiele biedniejszą od Anglii, Francyi lub Niemiec. A wydatki te z każdym rokiem się powiększają. Na najbliższem posiedzeniu delegacyi komendant marynarki, Montecuccoli, przedstawi program budowy floty, obliczony na 312 milionów koron. Wydatki na wojsko zwiększyły się w tym roku o 40 milionów koron i dochodzą do 400 milionów koron rocznie.

Zaniepokojenie wśród hakatystów. Berlińskie pismo »Post« otrzymało z Poznania wiadomość, że wobec braku ziemi w Wielkopolsce pruska komisya kolonizacyjna zawiesi niebawem swe czynności. Już przed niedawnym czasem wypowiedziano kilku urzędnikom miejsca, na wiosnę wypowiedzą posady 20 rządcom. Podając tę wiadomość, dziennik »Post« wzywa rząd, aby ostatecznie rozpoczął zastosowywanie ustawy o wywłaszczeniu i w ten sposób odebrał Polakom ziemię a dostarczył jej Niemcom.

Strzały w Izbie deputowanych. Podczas posiedzenia paryskiej Izby poselskiej padły z galeryi dwa strzały rewolwerowe skierowene w stronę prezydenta ministów Brianda. Jeden ze strzałów nie trafił w nikogo, drugi ugodził w nogę p. Mirmanda dyrektora spraw sanitarnych w ministerstwie spraw wewnętrznych i zranił go lekko. Okazało się, że strzelał niejaki Bisolan były pisarz przy trybunale państwa, wydalony z tej służby z powodu choroby umysłowej. Twierdzi on, że nie strzelał z zemsty, lecz dla zabawki i że nie mierzył w Brianda, ale w posłów. Bisolan był już raz aresztowany, gdy bez powodu strzelał do posła angielskiego w Sebastyan. Po jakimś czasie wypuszczono go z zakładu leczniczego, poczem zaopiekował się nim brat w Paryżu.

Zmiana konstytucyi w Anglii. Z Londynu donoszą, że po zebraniu się parlamentu przedłożona będzie ustawa o wprowadzeniu samorządu dla Anglii, Irlandyi, Szkocyi i Walii. Nastąpi przytem zasadnicza zmiana konstytucyi. Utworzone zostaną aż cztery parlamenty, na kształt naszych sejmów. Oprócz tego pozostanie parlament centralny (dotychczasowy) do którego dopuszczeni być mają reprezentanci z kolonij, dotąd zupełnie w życiu parlamentarnem Anglii nie biorący udziału.

Powstanie Arabów. Z Konstantynopola donoszą, że niespodzianie w Jemenie, południowej części Arabii, wybuchło powstanie przeciw rządom tureckim. — Przywódca powstania, Isman, rozporządza w obecnej chwili 50.000 jeźdźców. W powstaniu bierze udział 35 szczepów arabskich. Wojska tureckie w Jemenie liczą wprawdzie 40.000 ludzi, ale są zupełnie niepewne, tak że często całe oddziały przechodzą na stronę powstańców, oddając im broń. — Wśród Arabów panuje wielkie rozgoryczenie przeciw władzom tureckim, które mimo przyrzeczenia nie wprowadzają szkół z językiem wykładowym arabskim, lecz w tureckim. Zaopatrywanie wojska tureckiego w środki żywności jest nadzwyczaj utrudnione, albowiem powstańcy są w posiadaniu portu Odrida, przez który odbywa się sprowadzanie środków żywności. Jeden z przywódców powstania, Idris, ogłosił do wszystkich szczepów arabskich manifest, w którym grozi karą śmierci każdemu, kto nie przyłączyłby się do powstania.

Spisek anarchistyczny w Japonii. W Japonii wykryto spisek anarchistyczny. Za należenie do tego spisku skazano na śmierć 26 osób. Władze japońskie zakazały pismom japońskim ogłaszać wiadomości o tym spisku, który był bardzo szeroko rozgałęziony. Oprócz cesarza mieli być zamordowani cesarzowa i następca tronu.

KRONIKA.

Kalendarze rozesłaliśmy w tym tygodniu do nr. 4380, z wyjątkiem tych, których reklamacye posłaliśmy do dyrekcyi poczt. Pozostało nam tylko tyle do przesłania tym prenumeratorom, których reklamacye okażą się usprawiedliwione. Jeszcze raz zatem prosimy, nie przysyłać po 30 halerzy na kalendarz, gdyż musielibyśmy zwracać pieniądze, oczwiście na koszt wysyłających.

Niektórzy czytelnicy, których numer wypada na zero, a zatem którzy zostali obdarzeni w »Podarku szczęścia« Książką do nabożeństwa, przysyłają nam tylko wycinki z kalendarza i wypisują numer. To nie wystarcza, należy przysłać 55 h. na koszta wysyłki; inaczej książki wysłać nie możemy.

Rzadki jubileusz. W dniu 12 stycznia b. r. obchodził jubileusz 60-letni kapłaństwa ks. Adam Grębosz, proboszcz w Rzochowie. W dniu tym uroczystą sumę odprawił ks. Melchior Zapała, proboszcz z Cmolasu, zaś piękne kazanie, zastosowane do niezwykłej uroczystości, wygłosił ks. Jan Markiewicz, dziekan z Kolbuszowy. W uroczystości brali udział wszyscy księża dekanatu kolbuszowskiego, do którego jubilat należy, a oprócz tego liczne Duchowieństwo z sąsiednich miejscowości. Sędziwemu jubilatowi, który, mówiąc nawiasem, mimo podeszłego wieku krzepko się trzyma, życzy »Rola« z swej strony, aby go Pan Bóg i nadal obdarzał czerstwem zdrowiem i długiem życiem.

Pożyteczna zabawa. (J. C.) Miło jest podzielić się z Szanownymi czytelnikami w jaki sposób Ochotnicza straż pożarna w Suchodole uzyskała wcale poważną kwotę na cele własne. Z inicyatywy strażaka p. Wojciecha Zajdla oraz za jego staraniem odbyła się w dniu 8 stycznia b. r. loterya fantowa i spożywcza. Fantów do wygrania było 200 i składały się z różnych przedmiotów, jako to; przyrządy gospodarskie, kuchenne, zwierzęta domowe, drób, książki i t. p. Ludność miejscowa jak i zamiejscowa była bardzo zainteresowana tą zabawą, to też w przeciągu dwóch godzin losy zostały rozkupione i żałujemy bardzo, że nie podwoiliśmy sobie fantów. Korzyść materyalna, niezwykle spodziewana, bo paręset koron czystego zysku przysporzyła kasie strażackiej, za co można będzie sprawić najniezbędniejsze przybory dla straży. Sądzę, że gdyby każda gmina na podobne cele urządziła taką zabawę, to funduszami mogłaby lepiej prosperować. Ofiarodawcom fantów, jakoteż i uczestnikom tą drogą Bóg zapłać!

Powietrze krakowskie we Włoszech. Krakowska pracownia akademicka chemiczna dostarczyła na zamówienie uniwersytetu w Medyolanie 10.000 litrów sześciennych skroplonego powietrza dla celów naukowych. Krakowski zakład uniwersytecki jest jednym z najważniejszych w Europie źródeł wytwarzania powietrza skroplonego, które bywa rozsyłane w specyalnych metalowych balonach do wielu zakładów naukowych w Niemczech i Włoszech.

Do czego może doprowadzić pijaństwo? Piszą nam z Bośni: Dnia 27 grudnia t. j. w dzień św. Jana Ewangielisty, zeszło się kilkunastu gospodarzy, w liczbie 16, do szynku Jana Janeczka w Rakowcu, a że pomiędzy nimi znalazło się pięciu Janów, więc jeden drugiemu powinszował szczęścia, zdrowia i wszelkiej pomyślności na św. Jan. »Tę uroczystość — mówił jeden do drugiego — trzeba oblać« i złożyli się Jany, wszyscy po trochu, na ćwierć piwa, z wyjątkiem szynkarza. Po wypiciu tej ćwierci szynkarz sam, jako w dzień imienin swoich, dał drugą ćwierć piwa, t. j. 25 litrów, sam usiadłszy przy stole z gospodarzami. Rozmawiali o różnych rzeczach, jak to przy szklance bywa. Częstowanie tem piwem oddał jednemu z gospodarzowi Janowi R. i ten tak się sam uczęstował, że wyszedłszy zaledwie ze stancyi upadł na ganku tak, iż nie mógł sam powstać. Zobaczywszy to żona szynkarza, wezwała dwóch mężczyzn, którzy wnieśli do stancyi owego Jana bezprzytomnego, rozesławszy słomy na podłodze, położyli go i zasnął. Śpiąc, charczał ostro; jeden do drugiego mówi: »Ale się Janowi smacznie śpi!« Po niejakimś czasie porozchodzili się wszyscy do domów koło godziny 9 wieczór, zostawiwszy śpiącego w stancyi. Po rozejściu się gospodarzy i szynkarze poszli spać do tej samej stancyi. Rano, wstawszy, zauważyli, iż jakoś spokojnie leży, tak samo jak był położony. Przychodzi do niego szynkarz Janeczko, a dotknąwszy się ręką krzyknął i odskoczył; nieszczęśliwiec leżał już zimny, bez życia. Natychmiast szynkarz wezwał sąsiadów, ale cóż kto pomoże? nikt nie podźwignie! Była komisya i uznała, że skonał z nadmiernego picia. I stanął przed strasznym sądem Bożym w stanie pijanym! Od nagłej i niespodziewanej śmierci, a jeszcze w takim stanie, zachowaj nas Panie!...

Koń spadkobiercą. Zmarły w stolicy węgierskiej Budapeszcie brat posła Vizoni zapisał majątek w sumie 300.000 koron swemu 12 letniemu koniowi. Wykonawcą testamentu uczynił Towarzystwo ochrony zwierząt. Krewni chcą podobno wytoczyć proces, a Towarzystwu ochrony zwierząt ofiarowali 100.000 koron odstępnego, lecz Towarzystwo domaga się całej sumy.

Maryawici, którzy dotąd Częstochowę omijali, ośmielili się i pragną wystawić sobie kościół w pobliżu Jasnej Góry. Przyczynił się do tego ośmielenia maryawitów pośrednio przebrzydły zbrodniarz Macoch. Maryawici po ostatnich wypadkach w Częstochowie mają nadzieję, iż Jasna Góra nie przedstawia już więcej niebezpieczeństwa dla ich sekty, bo niby w narodzie polskim Częstochowa na uroku już straciła, ale grubo się pod tym względem mylą, bo lud polski swej Matce Częstochowskiej, która już tyle łask narodowi polskiemu wyprosiła, pozostanie niezmiennie wiernym.

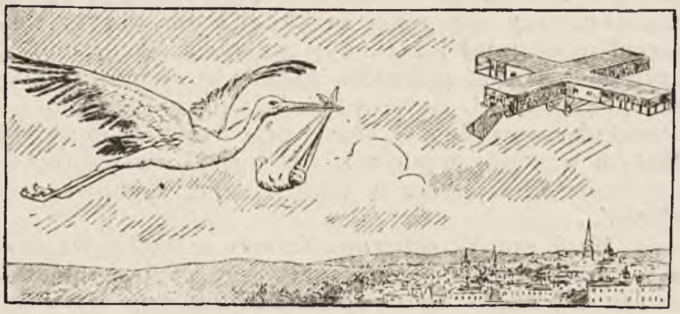
Aresztowani Polacy. W październiku r. z. aresztowano w Połonnem, na Wołyniu rosyjskiem, trzech słuchaczy lwowskiej szkoły leśniczej, przebywających na praktyce w dobrach hr. Karwickiego. Żandarmerya rosyjska uwięziła ich razem z nadleśniczym Łękawskim pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Austryi. Ponieważ uwięzionych dotąd nie uwolniono, wniesie w sprawie tej interpelacyę w parlamencie jeden z posłów.

Kobieta poborowa. W tych dniach przybył do Lublina do jednego z sędziów po poradę włościanin z lubelskiego, którego żonę w bieżącym roku powołują do odbycia powinności wojskowej. Włościanin opowiada, że rodzice żony jego, jak również i rodzice chrzestni, pijani pojechali do chrztu i na pytanie księdza, czy to chłopiec czy dziewczyna — odpowiedzieli, że chłopiec i dziecko ochrzczone zostało jako Jan, spisano również odpowiedni akt urodzenia. Obecnie żona jego, jako chłopiec, powołaną została do poboru wojskowego i narażona jest na wstyd i zbyteczne straty. Tak mści się czasem pijaństwo rodziców na dzieciach po dwudziestu latach!

Pycha socyalistyczna. Poseł do parlamentu Barth, socyalista, zawezwany został do sądu na świadka. Nie stawił się, więc sąd ponownie go zawezwał, a wkońcu, gdy i za drugim razem się nie stawił, skazał go na grzywnę stu koron. Przeciw temu wyrokowi wniósł on rekurs do wyższego sądu, pisząc,

że on, jako poseł, jest nietykalny i że przeto żaden sąd nie ma prawa wzywać go na świadka, jeżeli mu się nie podoba stawać i świadczyć. Sąd wyższy rekurs ten odrzucił, ponieważ ustawa o nietykalności poselskiej nie mówi wcale o tem, żeby posłów nie można było wzywać na świadków; lecz że przeciwnie, poseł powinien tak jak każdy inny obywatel służyć świadectwem i ułatwiać przez to wymierzenie sprawiedliwości.

Bocian w kłopocie. Ludzie weseli lubią żartować ze wszystkiego, co ich otacza. Dlatego dużo już konceptów powstało wskutek tak modnego dziś latania po powietrzu. Jest to wynalazek prawdziwie ważny i spowoduje przełom w dziejach świata a swoją drogą i o lotnictwie wymyślono dużo dowcipów.



Jednym z takich jest właśnie rysunek podany przez pewną gazetę francuską. Przedstawia on bociana, który niesie niemowlę jakiemuś szczęśliwemu małżeństwu, a latający na swojej maszynie człowiek przeszkadza mu w tem hałasem i gwałtownym pędem.

Kolej a grubasy. Jaką dopłatę należy ustanowić na kolejach dla osób grubych? Oryginalne to pytanie postawił zarząd kolei południowo-zachodnich w Rosyi. Powodem do postawienia tego pytania nowej »kwestyi« był przypadek następujący: Na jednej ze stacyj na kolejach południowych p. X., który się cieszy bardzo dobrą budową i tuszą, nie mógł się dostać do wnętrza wagonu przez drzwi, po mimo wszelkich wysiłków ze swej strony, pomimo, że go do środka popychała cała kupa ludzi. Na czyjąś propozycyę, aby p. X. wsiadł do wagonu towarowego, podróżny odpowiedział, że zgodzić się na to nie może, albowiem posiada bilet osobowy. Nareszcie naczelnik stacyi znalazł szczęśliwe wyjście z trudnej zaiste sytuacyi i umieścił podróżnego w wagonie sanitarnym, w którym p. X. miał jechać szczęśliwie, aż do celu swej podróży. W drodze jednak kontrolor sporządził protokół, odmawiając p. X. prawa korzystania z wagonu sanitarnego. Po długiem wahaniu ministerstwo kolei, które w praktyce swej jeszcze nie miało podobnego przypadku, zadecydowało, ażeby ten grubas bogaty zapłacił za 12 biletów pierwszej klasy, ponieważ zajmował cały wagon.. że jednak chodzi tu o większą sumę, przeto ministerstwo postanowiło znieść się z ministerstwem finansów, któremu pozostaje ostatecznie rozwiązać kwestyę, jaki ma być stosunek kolei do podróżnych o poważnej figurze. Nie dobrze jest być w Rosyi grubym.

Pojedynek na siekiery. W Karaffie w południowych Włoszech, znaleziono przed kilku dniami na szynach kolejowych okropnie pokaleczone ciało pewnego pasterza. Jak następnie zdołano stwierdzić, zmarły padł ofiarą pojedynku na siekiery. Powodem było współzawodnictwo o miłość dziewczyny. Przeciwnika, również strasznie poranionego, lecz żywego, znaleziono ukrytego w domu. Natomiast trupa, celem zmylenia śladów, położono na szynach kolejowych.

Wypędzenie misyonarzy. Rząd portugalski wydał rozporządzenie, ażeby z dniem 1 b. m. wydalono z afrykańskich kolonii portugalskich wszystkich Jezuitów, i rozporządzenie już w czyn wprowadzono. OO. Jezuici utrzymywali, zwłaszcza w Afryce w okolicy rzeki Zambezi, liczne misye, a przy nich przytułki, szkółki dla opuszczonych dzieci murzyńskich. Obecnie wszystkie te zakłady pozamykano. Dodać należy, iż nawet masoński rząd francuski, jakkolwiek wydalił zakony z Francyi, misyonarzy pozostawił na stanowiskach i otacza ich opieką, gdyż wie, ile dobrego czynią.

Kule przeciwstrajkowe. Pewna gazeta francuska powiada, że w Niemczech, Belgii, Anglii i we Włoszech przyjęto już nowe kule karabinowe, mające mieć zastosowanie podczas rozruchów robotniczych. Szczególną ich właściwością jest to, że po wypadnięciu z lufy rozpryskują się na drobne kawałki i tracą siłę pierwotną. Tym sposobem z odległości stu metrów stają się całkiem nieszkodliwe. Uniknie się więc zadawania ciężkich ran demonstrantom i niebezpieczeństwa dla osób postronnych, a jednak odejmie się ochotę strajkującym robotnikom do robienia awantur.

Karnawał we Francyi. U nas bawią się ludzie po domach własnych albo w restauracyach, karczmach, szynkach i t. p., ale zawsze pod dachem. W krajach cieplejszych, w południowej Francyi, we Włoszech, zabawy karnawałowe odbywają się także pod gołem niebem a najwięcej oczywiście po miastach gdzie ludzi więcej i więcej mają pieniędzy na stracenie. Do stałych zabaw karnawałowych należy tam po znaczniejszych miastach pochód tak zwanego »Księcia karnawału«. Odbywa się on tak, że na wozie umieszczają ogromną śmieszną maszkarę i obwożą ją po mieście. Za tym wozem jadą inne, na których siedzą ludzie poprzebierani w różne stroje. Pojeżdżą tak po mieście a potem rozchodzą do różnych miejsc i bawią całemi nocami. Takiego »Księcia karnawału« przedstawia nasz obrazek.



Bunt w Szampanii. Dzielnica francuska Szampania jest sławna tem, że rośnie tam takie winne grono, które po fabrykacyi przemienia się w wino nie takie jak zwykłe, ale musujące, pieniące się. Jest też ono bardzo drogie i ludzie bogaci chętnie je piją, płacąc po kilkanaście i więcej koron za butelkę, ponieważ, jak powiadają, daje złoty humor. W kraju tym wybuchły teraz rozruchy z następującego powodu:

Zbiór winogron w roku ubiegłym nie dopisał, skutkiem czego właściciele winnic ponieśli dotkliwe straty. Wielkie fabryki wina w Szampanii zwróciły się tedy do hodwców wina w innych dzielnicach Francyi i z przysyłanego moszczu wyrabiały sztuczne wina szampańskie. Wywołało to ogromne rozgoryczenie wśród włościan mających winnice w Szam-

panii, a tu i owdzie powstały nawet drobne zatargi i bójki między nimi a przedstawicielami władz, usiłującymi powstrzymać ich od zamierzonych wybryków. Dnia 17 stycznia popołudniu, w wiosce Dennery rozległ się nagle z wieży głos dzwonu, a w sąsiedniej wsi zatrąbiono na alarm. Było to umówione hasło. Całemi masami z okolicy zeszli się hodowcy winogron, utworzyli olbrzymi pochód z czerwoną chorągwią na czele i poszli do Epernay przed fabrykę szampana Peryera. Ten, widząc, co się dzieje, uciekł bocznemi drzwiami i w ten sposób uratował życie. Winiarze zaczęli niszczyć fabrykę — 80 hektolitrów wina wylali na piasek. Wylane wino tworzyło wielki staw, po którym pływały butelki od wina szampańskiego. Następnie zniszczyli oni całą piwnicę, potłukli butelki i zniszczyli całkowicie urządzenie fabryczne. Gdy przyszli żandarmi na miejsce, nie zastali już ani fabryki, ani plądrujących ludzi. Zniszczoną fabrykę otoczył kordon wojska. Następnie demonstrujący winiarze udali się do Villers i wtargnęli przemocą do składu innej fabryki szampana, gdzie zniszczyli beczki, zawierające 400 hektolitrów wina. Według wiadomości z Epernay, położenie stało się niebezpiecznem, winiarze grożą buntem winiarzy, takim, jaki już był przed kilku laty.

Psi figiel. W jednem z mniejszych miast włoskich zdarzył się niedawno zabawny wypadek. Pewien kupiec, mający handel wędlin i korzenny, zbankrutował. Jak zwykle w takich razach bywa, przybyła komisya sądowa, spisała towar, sklep zamknęła i opieczętowała. Towarzyszył temu aktowi strapiony właściciel, który w swej zgryzocie zapomniał, że zostały w sklepie dwa psy, które urzędnik zamknął i ze wszystkiemi dobremi rzeczami, znajdującemi się na ladzie, w paczkach, w puszkach i beczułkach opieczętował. Łatwo się domyśleć, jaką ucztę psy sobie wyprawiły, zostawszy same. Pozjadały wszystkie szynki, kiełbasy, sery, ryby suszone i wędzone, bułki, ciasta — wszystko co było odkryte i do czego dostać się mogły. Ale wody w sklepie nie było; najedzone zwierzęta nazajutrz jęło dręczyć pragnienie. Jak więc nie zaczną wyć w niebogłosy, a skrobać do drzwi — aż na całą ulicę słychać było. Przyszedł pod drzwi właściciel, ale nie mógł nic na to poradzić, bo naruszyć urzędowej pieczęci nie wolno, a klucza też nie miał. Udał się więc do sądu, lecz urzędnik przybył dopiero następnego dnia rano — i co za smutny i śmieszny zarazem przedstawił się widok! Z szynek zostały kości, z drogich ryb tylko puste puszki. Sklep był tak opróżniony ze wszystkiego, jakby złodzieje w nim gospodarowali.



Jeden obrazek przedstawia ucztę psią — drugi jak sklep wyglądał po uczcie. Komisarz zamknął sklep po raz drugi, tym razem zajrzawszy dokładnie w każdy kąt, czy gdzie jaki szkodnik czworonożny się nie ukrył, lecz ostrożność była już spóźniona. Psów już nie było, ale szynek i kiełbas także nie.

Bunt dzieci szkolnych. Od kilku lat czyta się ciągle po gazetach, że robotnicy, słuchacze jakiej wyższej szkoły, albo kobiety pracujące, chcąc uzyskać pewne prawa, czy też okazać z czegoś swe niezadowolenie — w pochodach liczących setki, a nawet i tysiące ludzi, przeciągają przez ulice miast ze sztandarami oraz tablicami na drągach, na których ogromnemi literami są wypisane ich żądania.



Na podobny sposób wzięły się i dzieci w pewnej wsi angielskiej. Droga prowadząca do szkoły była bardzo zaniedbana, błotnista, tak, że trudno było nią przejść. Zmówili się więc tak chłopcy jak dziewczęta i pewnego dnia, nie poszedłszy do szkoły, przeciągali w pochodzie z chorągwią i bębnem przez wieś. Przed urzędem gminnym wołały: »drogę naprawić! hańba wójtowi! hańba gminie!« — a w końcu, gdy się pochód miał rozejść, jeden z chłopców wyszedł na duży kamień przy drodze i wypalił siarczystą mowę o potrzebie naprawy drogi, zakończoną okrzykiem: »Hańba naszym radnym!!« — Ale podobno dla małego mowcy źle się ta przemowa skończyła, bo gdy wrócił do domu, ojciec, który sam był radnym, biorąc do ręki kij spytał go ze srogą miną:

— Będziesz jeszcze, smarkaczu, hańbował radnych i gminę? Co? Nic nie odpowiadasz? — Będziesz?

A gdy zacięty chłopak milczał uparcie... no tego łatwo się domyśleć. Nie poszedł nazajutrz do szkoły, boby nie mógł... siedzieć.

W paszczy tygrysów. Straszny widok mieli obecni w cyrku koło Londynu. Oto w czasie przedstawienia rzuciły się tygrysy na pogromcę Fakendorfa i obaliły go na ziemię. Dzięki przytomności dozorców i policyantów, którzy strzałami z rewolwerów i batami poskromili zwierzęta i spędzili je w jeden kąt klatki, udało się pogromcy ujść z życiem, chociaż strasznie poranionemu.

Jubileusz dziennika. Najstarsze w Chicago pismo polskie, »Dziennik Chicagowski«, obchodził 20 rocznicę swego istnienia. Pismo to, znajdujące się pod zarządem OO. Zmartwychwstańców, odznacza się bezstronnością, umiarkowaniem i spokojem w rozważaniu spraw publicznych, dzięki czemu stało się jednem z najpoważniejszych organów prasy.

Ciekawe małżeństwo. Niedawno temu mieszkańcy Harifardu, małej amerykańskiej mieściny, zdziwili się niepomału, słysząc o zamiarze małżeństwa 72-letniej wdowy Lucindy Tret, z 21-letnim studentem praw, Karolem Goddardem. Ponieważ pani Tret posiada majątek, wynoszący milion dolarów, nie dawano wiary, że związek małżeński zawiera się z miłości. Przynajmniej nie ufali temu synowie pani Tret z jej pierwszego małżeństwa, którzy wnieśli przeciwko matce podania do sędziego, by zawarciu tego dziwnego małżeństwa przeszkodził. Sędzia natomiast podanie to uchylił, wywodząc, że zarówno

z upodobania pani Tret, jak z jej wyglądu doskonałego wnosząc, nie widzi w tem małżeństwie nic dziwnego. Wskutek tego orzeczenia ślub odbył się bez przeszkód.

Humor amerykański. Zdarzają się ludziom dobre żarty i psoty, płatane nieraz bez złego zresztą zamiaru, przyjaciołom i znajomym. Ale żart, jakiego ofiarą padła w Ameryce pewna świeżo poślubiona para małżeńska, nazwiskiem Wiliam, przewyższa wiele niezwykłych figlów wesołych Amerykanów. Oto dwóch przyjaciół pana młodego postanowiło nie dać mu spokoju w pierwszych dniach po ślubie. Gdy państwo młodzi, po ceremonii ślubu, wyjechali do pewnego, w ślicznej okolicy położonego miasteczka i zamieszkali w hotelu, zaraz nazajutrz ukazała się w sieni hotelu cała masa mężczyzn i kobiet, z kotami na rękach, a także wiele młodych panien i kilkunastu młodych ludzi. Wszyscy dopytywali się o pana Wiliam, żądając wpuszczenia do mieszkania, niektórzy wchodzili z kotami na rękach.



Gdy służba hotelowa nie mogła z natrętami dać sobie rady, wkroczyła policya. W śledztwie pokazało się, że ci wszyscy, co do hotelu przybyli, wyczytali w gazetach ogłoszenie, że pan Wiliam, zamieszkały w tym a tym hotelu, poszukuje 100 kotów, panny do towarzystwa i człowieka umiejącego prowadzić samochód. Stąd powstało całe zbiegowisko z miauczącymi niemiłosiernie kotami. Owi przyjaciele, co podali do gazet ten inserat, dostali jednak nauczkę za ten żart i sąd wdał się w sprawę i ukarał ich grzywną pieniężną. Ale figla spłatali panu młodemu, co się zowie! Wnet też młoda para wyjechała z tej miejscowości, szukając spokojniejszego kącika do miłośnego gruchania.

Matka pięćdziesięciorga dzieci. W Transwalu, w powiecie kronstadzkim, mieszka wdowa, niejaka pani van Wyk. Urodziła się ona 20 października 1832 a do pożycia małżeńskiego wprawiać się poczęła już w 18 roku życia, wychodząc za Piotra Jakóba, dwojga imion, Lubbego. Po upływie dwóch lat straciła małżonka, zostając z jednem dzieckiem. Samotność ta nie trwała długo; już po dziesięciu miesiącach poślubiła wdowca, Mikołaja Marcina Pretoryusza, ojca trojga dzieci. Po półtoraletniem, jak najlepszem pożyciu małżeńskiem, zabrał jej los i tego towarzysza, zostawiając ją znowu jako wdowę, tym razem naturalnie z 5 dzieci. Po pięciu miesiącach wstąpiła ponownie w związki małżeńskie z Dawidem Stefanem Pietersem. Ten trzeci mąż wniósł jej jako wiano 7 własnych dziatek. Z panem Pietersem była pani van Wyk szczęśliwa przez lat jedenaście, pomnażając dobytek wspólny jeszcze o siedmioro dzieci. Umarł wkońcu i ten mąż.

Minęło 5 lat, które przepępziła w gronie swych 19 dzieci. Nie mogła jednak dłużej wytrzymać samotności i wyszła zamąż znowu za wdowca. Zwał się Daniel Ludwik Kronje. Nowy małżonek miał swych własnych dziatek równo ośm. Z panem Kronje żyła jedenaście lat, obdarzając go 4 dzieci. Troska o tylu członków rodziny niejednego ojca zniszczyłaby, więc też nie dziw, że i pan Kronje długo nie wytrzymał i przeniósł się w lepsze zaświaty.

Znów nastąpiła 5-letnia pauza, poczem wdowa po raz piąty z rzędu ślubowała przed ołtarzem wierność, tym razem p. Henrykowi Klapperowi, z którym żyła lat 11, przynosząc mu niemal z regularnością kalendarzową rok rocznie potomka. Razem było tych pociech 10.

Gdy imci p. Klapper »klapnął«, wdowa van Wyk, nie mając widocznie dość rozkoszy małżeńskich, poślubiła ostatniego z rzędu małżonka, pana Evenraada Henryka van Wyka, ojca 5 dzieci. Z ostatniego tego małżeństwa pozostało czworo dzieci.

Razem jest tych dzieci 50, wnuków zaś ma p. van Wyk okrągłą cyfrę 270.

Milionerka królową cyganów. Wszystko na świecie się sprzykrzy, nawet dostatki i wygody. Córka pewnego amerykańskiego bogacza znudziła się do tego stopnia życiem bezczynnem, złożonem z zabaw, podróży, bywania w domach równie bogatych ludzi, jak jej ojciec, że pewnego razu zabrawszy garść kosztowności i pieniędzy, uciekła do bandy cyganów. Czarne włóczęgi przyjęły bogatą pannę z otwartemi ramionami. Spodobało się jej ich życie tułacze, pełne przygód, a więcej może jeden młody cygan, chłopak jak świeca, z czarnem, palącem okiem i zakręconemi w górę wąsikami. Nie trzeba dodawać, że i panna cyganowi się spodobała. Pobrali się zatem, a ponieważ cygan był najstarszym synem naczelnika bandy, gdy stary wkrótce umarł, on został królem, a ona królową tej cygańskiej gromady. Gdy ojciec się dowiedział wreszcie, co się stało z córką, było zapóźno; już dwoje małych cyganiąt wołało na nią: mamo!



Pewnego razu, jak widać na naszym obrazku, porwał ją dziki Indyanin i pędził z nią co koń wyskoczy, do swoich; cyganie wszakże go dogonili, mąż stoczył z rabusiem walkę i uwolnili porwaną. Indyanin przypłacił wprawdzie życiem ten napad, lecz i mąż byłej milionerki poniósł śmierć od dzidy Indyanina. Odtąd sama została królową i przewodziła bandzie cygańskiej długie lata. Zdarzało się, że znajome panie odwiedzały ją niezaz wśród cyganów, namawiając, by powróciła do swoich. Ani słyszeć jednak o tem nie chciała, i umarła królową cyganów.

Podziękowanie. Niżej podpisany, będąc dotkniętym klęską pożaru w dniu 4 stycznia 1911, w którym spłonęła mu doszczętnie stodoła z całą zawartością, czuje się zobowiązanym do podziękowania »Wiśle«, Ludowemu Towarz. wzajemn. ubezp. za szybką i sumienną likwidacyę, w której przyznano mu całe wynagrodzenie bez żadnych zgoła potrąceń. *Adam Bogusz* z Ilkowic, pow. tarnowski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Franciszek Żyguła w Ł.: Nie, adres był zły, teraz zmieniony dopiero. Należy nam się za to 40 hal. i 30 hal. na przesyłkę nowego kalendarza. — Marcin Łukasiewicz w D.: Tak, należy się Panu książka do nabożeństwa, prosimy przysłać 55 hal. na przesyłkę poleconą. — Wojciech Żak w P.: Więc skoro Pan pisze, że numer 996 nie wygrał to poco wydawać pieniądze na markę? Nie każdy mógł wygrać tylko co dziesiąty a oprócz tego trzynastu. Za rok będzie nowe losowanie, a może i prędzej. — Czesław Sobowiec w R.: Posyłamy jak najregularniej, tak jak wszystkim, we czwartki. Może adres niedokładny? U nas każdy numer przed wysyłką jest kontrolowany. — T. Gromek w S.: Uwagi zupełnie słuszne. — Jan Gross w B.: Wysyłamy najregularniej w opasce krzyżowej! Prosimy upominać się na poczcie. — Józef Krzysztofczyk w B.: Adres był błędnie podany, dlatego »Rola« błądziła. Obecnie adres poprawiony. — Jan Zdziarski w S.: Jeżeli nie dochodzi, to tylko wina poczty, gdyż my najregularniej wysyłamy. — Izydor Wardzała w Ł.: Łamigłówka dobra, więc ją wydrukujemy. Za słowa pełne życzliwości dziękujemy. — Franciszek Marzec w W.: Cieszy nas bardzo obietnica. Cześć i pozdrowienia. — Jan Babula w W.: Obraz taki dostanie u firmy Witkowski-Kordas, Kraków, Rynek 46/6. Prosimy powołać się na ogłoszenie w »Roli«. Maciek dziękuje za pamięć. — Piotr Kędzierski w P.: Próba nieźle wypadła. — Jan Krajdocha w S.: Wiersz »Ratujmy Maćka Bzdurę« dobry — umieszczamy. Prosimy o więcej. — Józef Dziub w P.: Wiersz p. t. »Swaty Maćka Bzdury« umieszczamy. Dziękujemy za życzliwość. — Emil Nierychel w Z.: Otrzymaliśmy. — Piotr Lipowiak w L.: Dziękujemy staremu przyjacielowi. — Woiciech Ćwiok w P.: Wydrukujemy — dzięki. — W. Bilicka w K.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. Poprzedni list również nadszedł, a nie odpowiedzieliśmy wskutek ogromnego braku czasu. Leon Łętowski w S.: Dobrze, prosimy przysłać 2 kor., a będzie rocznik pięknie oprawny, złocony. — Franciszek Budyś w L.: Jest jeden, prosimy przysłać 1 kor. — Józef Wałaszek w J.: Wiersz otrzymaliśmy, wydrukujemy. Kartka z rozwiązaniem nie doszła. Za przyjaźń nie płacimy, ale sami się umiemy odwdzięczać bez czekania na prośbę. — Ferdynand Kuraś w T.: Już załatwione. — Jan Skowron w S. D.: Kalendarz wysłany 18 stycznia. — Franciszek Siatkowski w N.: Kalendarz wysłany 30 grudnia, Podarek Szczęścia 21 stycznia. — Gabryel Szelong w K.: Tak, słowo słowem. Wysyła się po kolei, bo setek opakowań wyrobić w jednym dniu nie można. — F. Giergielewicz w L.: Reklamacyę numeru po miesiącu uwzględniać trudno, nieprawdaż? Numer 3 idzie. — Michał Strachocki w S.: Wysyłamy prenumeratorom we czwartki; reklamowane i okazowe tegoż dnia gdy otrzymamy kartkę. — Józef Suchanek w K.: Za złe wcale nie mamy i wyjaśniamy, że księgarnia zobowiązała się dostarczyć nam zamówionych kalendarzy 500 sztuk do 15 b. m., zatem 16 i 17 miała się odbyć wysyłka. Dostarczono nam na termin tylko 250, zatem wysłaliśmy tylko tym, których numery były bliższe. Żałujemy, że dalsi muszą czekać. — Kazimierz Bielski w C.: Drugi kalendarz wysłany został 18 stycznia. — Ignacy Kozik w K.: Niestety, numerów tych już nie mamy, tylko całe roczniki. — Jan Faran w M.: Posyłamy chociaż się nie należy. Jan Łaz w T.: Wysyłamy. — Kazimierz Tokarski w M. w.: Łamigłówka w numerze, rozwiązania wierszem z powodu braku miejsca nie mogliśmy umieścić. Oprawne roczniki z 1910 roku mamy już gotowe i po otrzymaniu pieniędzy natychmiast wyślemy. — Regina Urygowa z J.: Możeby się która przejechała do Maćka, aby ją wpierw poznał dokumentnie. — Jan Spławiński w J. p.: *Pozdrowienie i piękny ukłon Maciusiowi Bzdurze za jego piękne gadanie* — odczytaliśmy Maćkowi, a ten aż podskoczył z radości i ładnie dziękuje. — Wacław Tomaszewski w P.: Wiersze otrzymaliśmy, które po poprawieniu wydrukujemy. — Wojciech Pudło w O.: Owszem są takie pisma, o jakich Pan mówi, ale te chorują, niestety, na suchoty, to jedno, a drugie nie ten się uczy, który powtarza od rana do wieczora i, u, o, a, e, ale ten, który, bawiąc się, spostrzega dobre i złe przykłady, naśladuje pierwsze a unika drugich. Dziwi nas bardzo, że Pan nie lubi czytać powieści w tygodnikach, ale to już nie nasza wina — są inni, którzy bardzo lubią. Co zaś do zagadek, to niech Pan będzie tak dobry i przeczyta artykuł z 51 numeru »Roli« z ubiegłego roku p. t. »Ćwiczenia umysłu«, a może zdanie Pan zmieni — a jak nie, to nie! — Józef Gasiński w B.: Otrzymaliśmy. — Józef Kobylański w L.: Otrzymaliśmy. — Jan Burghardt w S.: Oprawne roczniki »Roli« z 1910 r. wysyłamy za pomocą adresu przesyłkowego, ale tylko po poprzedniem otrzymaniu należytości. — Adam Czapla w K.: Na rok 1911 należy się jeszcze 1 korona. — Antoni Kucharski w U. S.: Oprawne roczniki z r. 1910 wysyłamy po poprzedniem otrzymaniu 4 kor. — Kazimierz Szymański w P.: Jeszcze raz musimy pisać, że podarunków nikomu za przysługi nie obiecujemy zatem upominać się o nie nie można. Za rozwiązania książek nie rozdajemy tylko losujemy. Na żadne oszukaństwa nikt nas nie namówi, bo my nie oszukańce. Tymi prenumeratorami, których Pan wymienia, to się już trzech chwaliło; każdy powiada, że to on ich zjednał. — »Z. K. 17«: Od orzeczenia namiestnictwa rekursu już niema. — Michał Sypek w W. G.: Wysłane 3 grudnia. Wnieśliśmy reklamacyę do Lwowa.

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły!

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłał Kazimierz Tokarski z M. w.).

T	.	*	.	.	Góry w Galicyi.
K	.	*	.	.	Łódka.
W	.	*	.	.	Sąsiedni kraj.
B	.	*	.	.	Miasto w Galicyi.
R	.	*	.	.	„ „ „
S	.	*	.	.	„ „ „
O	.	*	.	.	„ „ „
D	.	*	.	.	„ „ „
W	.	*	.		Poboczna rzeka Sanu.
K	.	*	.	.	Zwierzę domowe.
P	.	*	.	.	Nazwa narodowości.
S	.	*	.	.	Zaloty.

Zamiast kropek i gwiazdek powstawiać litery, których rząd środkowy (tam gdzie gwiazdki), czytany z góry na dół da tytuł czasopisma bardzo pożytecznego i dobrego.

2. SZARADA.

(Nadesłała Stanisława Szołginia z L.).

Całość to jest pierwsze, drugie,
Zwierz szybszy od konia,
Ma na głowie rogi długie,
Drugiem zwią nicponia.

3. SZARADA.

(Nadesłał Kędzierski Piotr z P.).

Pierwszą z trzeciem w wielkim świecie,
W kilku odmianach znajdziecie
Samo drugie odezwanie,
Jest stosowne na wołanie.
Całość miejsce gdzie hetman stary
Zginął w potyczce z Tatary.

4. SZARADA.

(Nadesłał Łukowski Stanisław z W. R.).

Pierwsza-trzecia kruszec jasny
Dobrze znany wszystkim pono
Dawniej dzbany i talerze
Oraz łyżki z niej robiono.

Pierwsze z drugiem razem wzięte
To narzędzia są muzyczne
Przy grze wprawnej dają tony
Niezbyt głośne, jednak śliczne.

Samo trzecie to przyimek
Wszystko owoc, kwasem
Wśród gorąca nas orzeźwia
A w chorobie leczy czasem.

* * *

Za dobre rozwiązania przeznaczamy, w nagrodę:
1) ***Witoldowi Synowie*** powieść histor.
2) Fr. Hofmanna ***Przemytnik.***

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 5 lutego 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 3 *Roli*: 1. Łamigłówka: **Kraków**, 2. Szarada: **Stolica**, 3. Arytmogryf: **Spowiedź**, 4. Zagadka: **Moda.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Gdy te słowa kreślę,
Tylko nad tem myślę:
Niema miasta, jak nasz Kalisz,
Choć go może ty nie chwalisz,
Ja go lubię. W rzece Pregli
Już niejedni do snu legli —
Darmobym się chciała trudzić,
By ich z tego snu obudzić.
Kraska jest ładna, wolę skowronka.
Choć niepozorna jego sukienka,
Lecz ładnie śpiewa, wierzcie mi dzieci,
Że nie to złoto, co się wam świeci.
Do szakali są ludzie niestety podobni,
Z miłości, zemsty — nie boją się zbrodni.
A gdy Łobzów z Krakowem niedawno ślub [wzięli
Opatów chciał być drużbą, lecz go nie przyjęli.
Całość to nasz stary Kraków ukochany,
Dawniej z drzewa a dziś murowany.

Pelagia Rażna z K.

2.

Że zagadki do nagrody,
Więc też stary i młody
Chętnie do nich się przykłada,
Że za dobre rozwiązanie —
Książka jemu się dostanie.

I ja także z takiej woli,
Rozwiązanie ślę do »Roli«!
Tuż nad Wisłą zbudowany,
Stary Kraków ukochany,
W nim stolica także była,
Póki cała Polska żyła.
Z tem się załatwiłem prędko,
Lecz arytmogryf z zagadką
To mię długo zabawiały
I straciłem czas nie mały,
Nim się wreszcie przekonałem,
Że o jednym nie wiedziałem
Bardzo ważnym sakramencie,
Jakim? Powiem, bo nie wiecie.
»Spowiedź« — skromnie się mianuje,
Lecz ją każdy zaniedbuje
Póki duszę w ciele czuje.
Bo taka moda panuje.
Na tem kończę rozwiązanie
Śląc Redakcyi pozdrowienie!

Jan Bąbaś z S.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Mateusz Zięba z O. B., Jan Moś z Cz., Jan Płodzień z Ch., Leon Łętowski z S., Józef Gadzicki z O., Franc. Migdał z S., Józef Walatek z R., Michał Pietryka z B., Jan Babula z W., Piotr Kędzierski z P., Stefan Dziadyk z M., Adam Warchoł z Z., Ludwik Misiura z B., Jan Brzeziański z K., Piotr Sendyk z P., Jakób Gawryś z B., Tomasz Chmura z S., Jan Iwański z T., Władysław Stefański z G., Adela Bezokówna z K. m., Mikołaj Wyżykowski z R., Józef Gasiński z B., Antoni Małecki z L., Piotr Lipowiak z L., Franciszek Teper z M. K., Michał Dudek z Ż., Józef Kobylański z L., Piotr Gajoch z P., Kazimierz Kowalski z K., Jan Spławiński z J. p., Wład. Dubaj z J. p., Zygmunt Bogdański z J., Fr. Czaja z B., Józefa Hirszberg z K., Karol Maj z B., Zofia Oraczewska z Ż., Izydor Wardzała z Ł., Kaz. Tokarski z M. w., Franc. Kelner z P. L., Wacław Tomaszewski z P., Eugeniusz Oczkowski z G.

Nagrodę p. t. ***Pod pieskową skałą*** wylosował p. **Józef Walatek** z R., zaś p. t. ***Tymko Orlik*** **Franciszek Teper** z M. K.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali PP.: Basznica Gabryel z C., Mieczysław Grojecki z Ł., Karol Koss z P., Jan Wilusz z K., Kółko rolnicze z F., Józef Dzindziel z F., Raszyk Jan z D., Owca J. z M., Rzechuła Władysław z L. w., Szymon Kuźniar z H., Anna Hetper z B., Franc. Waleczek z R., Wałęga Marcin z R., Warmuz Franciszek z W., Machaczek Adolf z K., Gałuszka Piotr z P., Zwolenik Jan z M., Ks. Stanisław Szufa z S. W., Kółko rolnicze z Rz., Kłaptacz Józef z Cz., Klus Jan z Cz., Ogrodnik Ludwik z S. n., Koczwara Walenty z M., Bartosik Józef z M., Najprzewielebniejszy Ks. Biskup Józef Pelczar z Prz., Polak Aniela z T. d., Hansel Józef z S., Kółko rolnicze z S., Kółko rolnicze z Cz. w., Jan Golik z Rz. d., Franc. Dworok z O. A., Wojciech Tatara z W., Piotr Urban z N., Józef Koszarski z D., M. Zaczek z K., Józef Wanat z Cz., Stan. Dąmbski z L., Andrzej Gałuszka z M., Czendlik Józef z S., Robert Szewc z D., Koło macierzy szkol. z B., Br. Anioł Bryj z U., Laszczyk Ant. z J., Czachor J. z M., Kopyc Jan z L. W., Podgóreczny J. z K.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Król Jan z S., Dziedzic Jan z K., Mrózek Józef z Z., Franciszek Harwat z P., Rudolf Toperzer z Cz., Andras Grzegorz z N. T., Rudolf Kula z M. K., Lach Józef z B., Gęza Jan z Z., Guzik Jan z N. T., Keller Juliusz z W. g., Czapla Adam z K. (3 K.), Rzeszutek Wojciech z S., Kantor Adam z F., Czytelnia polska z P., Homa Antoni z M., Mglej A. z Z., Więch Józef z D., Kłapkowska A. z G., Raźna Pelagia z K., Mazanek Szczepan z Z., Stec Paweł z U., Lech Wasyl z J., Kucob Antoni z J., Józef Majer z L., Borgieł Antoni z S., Fr. Tymon z S., Jan Skwara z T., Jan Dubiel z Sz., Andrzej Kucharski z U. S., Winc. Flis z L., Krzysik Szczep. z O., Kuziara Michał z Ż., Koziarz Wojc. z S.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Kalikst Rybicki z Ch., W. Jamrozik z P., Kosturska Stefania z S. n., Trojnacki Wal. z O. t., Ćwięczek J. z W. K., Paweł Marosz z K., Marcin Maziarz z C.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 24 stycznia:

Buhaje	Kor.	180	do	350	za sztukę
Woły	„	200	„	400	„
Krowy	„	123	„	152	„
Jałówki	„	100	„	350	„
Cielęta	„	26	„	70	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	132	„	150	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 24 stycznia:

Pszenica	Kor.	10·30	do	10·80	za 50 kg.
Żyto	„	7·60	„	7·90	„
Jęczmień	„	7·50	„	8·—	„
Owies	„	8·10	„	8·35	„
Otręby pszenne	„	4·75	„	4·90	„
Otręby żytnie	„	4·70	„	4·80	„

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.